



Egz. archiwalny IBL

3488

Witold Żukowski.

Złoto i błoto.

Dramat w pięciu aktach.


INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

ST. PETERSBURG.

Drukarnia J. A. Mansfeld, Mała Morska, 9.

1903.

Witold Żukowski.



Złoto i błoto.

—••••—

Dramat w pięciu aktach.



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

ST. PETERSBURG.

Drukarnia J. A. Mansfeld, Mała Morska, 9.

1903.



Дозволено цензурою Варшава, 23 Августа 1902 г.

3994

<http://rcin.org.pl>

O s o b y.

- Józef Giełduch**, prezes (lat. 55).
Marya, jego żona, (l. 45).
Helena Ratocka, Księżna (l. 23). } ich córki.
Zofia (lat 18) }
Jan Ratoeci, Książę, mąż Heleny (l. 40).
Stanisław Barański, doktor (l. 50).
Roman Lipiński, hrabia (l. 35).
Julia, jego żona (l. 25).
Wanda Sakowicz (l. 50).
Henryk, jej syn, adwokat (l. 30).
Mogilson, sekretarz prezesa (l. 35).
Filipowicz.
Lokaj, służąca, Komisarz policyi i żandarmi.
-

Copy

Library of the Polish Academy of Sciences

A K T I.

(Mieszkanie prezesa: salon pięknie umeblowany i rześisto oświetlony. W głębi kolumnada, po za którą drugi salon balowy. Przy podniesieniu kurtyny w drugim salonie bal—muzyka gra walca, goście tańczą).

S C E N A I.

Henryk, Zofia.

Henryk (wchodzi z prawej strony—mówi do siebie) Bal się już rozpoczął... Gdzie Zofia? (Idzie w głąb sceny i patrzy na tańczących) Muszę się z nią widzieć koniecznie! (Znika na chwilę; poczem wraca z Zofią). Dzisiaj nasz los powinien się rozstrzygnąć Zofio. Skorzystam właśnie z tego balu...

Zofia. Boże! drzę cała.. Pragniesz Henryku wyznać wszystko mojemu ojcu?

Henryk. Wszystko! Nie mamy czasu do stracenia.

Zofia. Mój ojciec na podobny krok z twej strony nigdy nie przystanie. Przewiduję fatalne skutki i strach mię ogarnia...

Henryk. Stało się! innej rady niema. Nie obawiaj się niczego, Zofio; powinnaś pokładać we mnie zupełne zaufanie. Zapewne, że bez scen i małego skandalu sprawa nasza się nie rozstrzygnie, jestem jednak na wszystko przygotowany i mam nadzieję...

Zofia. Henryku, ty nie znasz mojego ojca.

Henryk. Znam go dobrze i właśnie dla tego...

Zofia. On ciebie wypędzi, wyrzuci stąd, a ze mną... Sama nie wiem co gotów uczynić!..

Henryk. Co się tyczy mojej osoby, jestem spokojny i pewny siebie. Z tobą zaś, Zofio, to inna kwestya i dla tego powinniśmy być przygotowani na wszelką ewentualność.

Zofia. Co przez to rozumiesz?

Henryk. Może ci wypadnie ten dom opuścić jeszcze tej nocy.

Zofia. To niepodobna!

Henryk. A jednak będziemy zmuszeni do takiego rozwiązania naszego położenia, jeżeli... Zresztą, zobaczymy! Z twoim ojcem, Zofio, muszę się rozmówić na osobności i wybrać na to stosowną chwilę — właśnie teraz podczas balu. Natychmiast zawiadomię cię o rezultacie naszej rozmowy, uprzedzam cię więc, Zofio, bądź przygotowana...

Zofia. O Henryku, mój drogi! (*bierze go za rękę*) jestem występna — i bez woli. Kocham cię, i co rozkażesz, to uczynię.

Henryk. Najdroższa moja, odwagi! Przyszłość przed nami... Ktoś nadchodzi — wracaj do tańczących (*odchodzą w głąb sceny; Zofia znika w drugim salonie, Henryk pozostaje na miejscu*).

S C E N A II.

Henryk, Doktor Barański.

Henryk (*spostrzegając wchodzącego z prawej strony doktora*).
A!.. witam szanowego doktora!

Doktor. Dobry wieczór! (*podają sobie ręce*). Coż to pan Henryk tak w samotności, a nie w kółku tańczących?

Henryk. Nie tańczę — a przed chwilą rozmawiałem z panną Zofią. Wybornie się składa, że cię spotykam, doktorze, po-

nieważ w pewnej sprawie pragnąłbym zasięgnąć pańskiej porady.

Doktor. Coż takiego? Może jesteś cierpiący?

Henryk. Nie! Idzie tu o rozstrzygnięcie pewnej kwestyi. Zwracam się też do doktora nie jako do specjalisty, lecz jako do przyjaciela domu, w którym się obecnie znajdujemy.

Doktor. Tak! jestem doktorem rodziny Gielducha już od lat kilkunastu. A co się tyczy przyjaźni... zawdzięczam wprawdzie wiele prezesowi w zakresie mej praktyki i kariery lekarskiej, lecz wyznaję, że do jego osoby nie czułem nigdy sympatii—a nawet szacunku.

Henryk. I któż do takiej osobistości, jak prezes, może czuć chociażby najmniejszą sympatię. Szacunku on nie godzien! Dorobkiewicz i aferzysta, który się dobił pierwszorzędnego stanowiska w świecie finansowym, lecz jakimi drogami i sposobami—o tem milczy historia... Spójrz, doktorze, oto w tych salonach Gielducha cała arystokracja, mieszczaństwo, wyżsi urzędnicy—wszyscy nizko mu się kłaniają, pochlebiają i liżą jego łapy, bo z nich złoto kapie. W tem zresztą niema nic dziwnego: każdy pragnie żyć i wyciągnąć dla siebie jak najwięcej korzyści. I każdy—chyba z małymi wyjątkami,—będąc na miejscu prezesa, posiadając jego spryt i umiejętność, kroczyłby również jego śladem w tę otchłań występku i prawego rozboju, za pomocą których tworzą się milionowe fortuny. Ja nawet sam nie lepszy od innych! Zajmuję już od kilku lat u niego posadę, jako adwokat domu Gielducha.

Doktor. Sie przeczę, wiele jest w tem prawdy, co opowiadasz, panie Henryku. Lecz o jakiej to sprawie wspominałeś mi przed chwilą?

Henryk. Czyś doktorze przypadkiem nie zauważył, jakiego rodzaju stosunki łączą mnie z rodziną prezesa—oprócz służbowych, ma się rozumieć?

Doktor. Dobrze! jeżeli się nie mylę. Zresztą, trudno mi odpowiedzieć na twoje pytanie, panie Henryku, ponieważ ostatnimi czasy miałem dużo zajęcia i nigdzie prawie nie bywam. Wiem tylko od pani Maryi, gdyż ją to trochę niepokoi, że miłem okiem spoglądasz na pannę Zofię i do niej się zalecasz, lecz w tem niema nic dziwnego lub karygodnego—młodość ma swoje prawa.

Henryk. Prawa, tak! ale jakie? Gdybym się oświadczył o rękę panny Zofii? (*Muzyka w salonie ustaje*).

Doktor. Ty, panie Henryku! Ależ zastanów się.

Henryk. Ja,—we własnej osobie. Dzisiaj jeszcze oświadczę się prezesowi o jej rękę i pragnąłem właśnie uprzedzić cię doktorze. Kocham pannę Zofię i jestem przez nią kochany (*Zdziwienie doktora. Obaj odchodzą, scena tymczasem napelnia się gośćmi*).

S C E N A III.

Giełduch, hr. Roman Lipiński, hr. Julia, książe Ratocki, księżna Helena, Marya, Filipowicz.

(*Po lewej stronie od widzów wchodzi: ks. Helena, za nią Filipowicz, w głębi sceny hr. Roman, ks. Ratocki i inni. Giełduch pod rękę z hr. Julią wchodzi na środek sceny*).

Giełduch (*z bukietem Julii w lewej ręce*). Muszę otwarcie przyznać hrabino, że jesteś bezwarunkowo królową mojego balu.

Hr. Julia. O, prezesie, pochlebiasz mi.

Giełduch. Jestem szczery i otwarty, pochlebstw nie lubię—to moja zasada.

Hr. Julia. Doprawdy! Tyle pięknych osób i ładnych twarzyczek w tem licznym towarzystwie

Giełduch. A, tak, tak! sama śmietanka! A cóż, mam szczęście do ludzi. Nie chwalebę się, lecz bez przesady: kochają mnie wszyscy, z którymi wchodzę w bliższe stosunki, moim bowiem celem jest dobro ogółu—le bien public, comtesse. Czynię co mogę—może nie wiele, lecz zawsze w miarę możności i moich sił—taka moja zasada. Mam też nadzieję, że z hrabią Romanem, mężem pani, łączyć nas będą również przyjacielskie stosunki, gdy wejdzie ze mną do spółki.

Hr. Julia. Wspominał mi mąż, lecz nie o spółce z prezesem, ponieważ on nie posiada żadnego kapitału.

Giełduch. No! nie rozchodzi się tu przecież o żaden kapitał pieniężny, lecz o pracę, o pewne zajęcie w moim domu, o stosunki hrabiego, jego umiejętność i tym podobne rzeczy, a to razem stanowi kapitał moralny, duchowy—jeśli tak można powiedzieć—wiele znaczący, więcej może, niż kapitał materialny. Cenię bardzo męża pani i jestem przekonany, że sama hrabina dopomoże nam pod wielu względami i przyczyni się swym rozumem i wpływem do wybrnięcia z interesów dość zawikłanych, z którymi hrabia obcenię rady sobie dać nie może. W krótkim czasie—jestem pewny—hrabia pod moim kierownictwem stanie na wysokości pożądanej i godnej w stosunku do towarzystwa, do jakiego należy i nazwiska, które nosi. Takie moje przekonanie.

Hrabina Julia. Dziękuję prezesowi za tak łaskawą o nas troskliwość i opiekę, lecz doprawdy nie wiem, w czym ja będę mu służyła i do czego będę użyteczną? Nie mam pojęcia o interesach.

Giełduch. O szanowna hrabino, wiadomo przecież, że tak w salonach, jak w polityce, stosunkach towarzyskich lub sprawach publicznych kobieta wszędzie, tembardziej gdy jest piękną i sprytną, gra pierwszorzędną rolę. My rządzymy światem a nami kobiety. Taka zasada! (*Do Julii prawie na ucho*) Od ciebie, piękna hrabino, dużo będzie zależało (*odchodzą w głąb do gości*).

Ks. Helena (*siedząc na kanapie na lewo, rozmawia z Filipowiczem*). Czy uważasz, że mój papa rzucił swą sieć na nową ofiarę. Widzisz, jak emabluje hrabinę.

Filipowicz. Podobno hr. Lipiński wchodzi do spółki z panem prezesem.

Helena. Do jakiej tam spółki? On goły jak bizun i z długami po uszy. Zresztą, hrabia z żoną i moim papą stworzą, zapewne pożądaną spółkę—*en trois!*

Filipowicz. Jesteś złośliwą, Heleno. Czyby twój ojciec?..

Helena. Mój papa?.. Oho! on zdolny do wszystkiego! Hrabia mu potrzebny do interesów, to nie ulega wątpliwości, no, a hrabina jako dodatek w postaci ładnej kobietki.. to też nie zły interesik. Tak, tak! z tej mąki będzie chleb.

Filipowicz. Ależ ona zakochana w swym mężu i taka enotliwa.

Helena. Jesteś naiwny, doprawdy. Oni są zrujnowani. powtarzam, a przytem z wielkiej arystokracji. Ratować się muszą *coûte qui coûte* i chwycić się tej jedynej deski zbawienia, jaka im się trafia. Mój papa jest właśnie ową deską zbawienia. Z pewnością wyciągnie ich z biedy i upadku, lecz przytem nie omieszka à propos takiego sprzyjającego wypadku wyciągnąć dla siebie największe korzyści. Interes interesem, a miłość miłością—*c'est la règle*. (*Ks. Ratocki przechodzi na prawo i spogląda na Helenę, rozmawiającą z Filipowiczem.—Hr. Julia opuszcza ramię Gięducha i zbliża się do męża. Gięduch wita się i rozmawia z gośćmi.—Muzyka gra pierwsze taktę kontredansa*).

Ks Ratocki (*d. s.*). Jak widzę, moja Helcia złowiła sobie jakiegoś nowego gacha... A no, dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie... i z nami tak będzie. Zresztą, mało mnie to obchodzi... do czasu... Niech tylko Gięduch płaci. (*Orkiestra gra kontredansa w drugim salonie; goście powoli się rozchodzą i tańczą. Helena wychodzi pod rękę z Filipowiczem*).

S C E N A IV.

Giełduch i Ks. Ratocki.

Giełduch. (*zbliż się do księci*). Czemuż książe, a mój kochany zięciu, stoisz w takiej zadumie i nie bierzesz w zabawie udziału?

Książe. Mój prezesie, a szanowny mój teściu, proszę, nie udawaj zdziwionego. Przyszedłem tu na bal nie dla jakiej zabawy lub przyjemności, lecz z obowiązku jako mąż twoją córkę, i gdybym zapragnął postąpić podług własnego upodobania, zaświeciłbym z pewnością w twych salonach moją nieobecnością. Lecz ponieważ czułbyś do mnie z tego powodu pewną urażę...

Giełduch. Masz zupełną słuszność, książe, i dziękuję ci, że zachowujesz tak niezbędne konwenanse światowe, a przysięgam ci, że będziesz się zastoso-
wywać do moich pragnień i życzeń.

Książe. Tak... ale twoja córeczka, szanowny teściu, a moja żoneczka, właśnie temi konwenansami światowemi nie wiele się krępuje—elle s'en fiche pas mal, i dlatego też pragnąłbym w tej kwestyi z tobą, mój teściu, trochę porozmawiać.

Giełduch. (*d. s.*). Czyby znowu potrzebował pieniędzy? (*do księcia*). Cóż takiego? nie rozumiem cię mój zięciu.

Książe. Helena kompromituje przedewszystkiem samą siebie, następnie twoją rodzinę, teściu, a wreszcie stawia mnie, jako jej męża, w pozycyi nie zbyt wdzięcznej i wygodnej.

Giełduch. Ale cóż zuowu, przesadzasz! Ona lubi się bawić—i nie więcej.

Książe. Tak! bawić się cudzym kosztem, a głównie kosztem mojej godności. Dotąd patrzę przez palce na jej postępkę i zachowanie się, albowiem nie posiadam pewnych

faktów, które mógłbym wykazać i udowodnić, lecz pragnę ciebie prezesie, a mój teściu, uprzedzić i oświecić, abyś wiedział, czego się masz trzymać i do mnie...

Giełduch. Ale, mój kochany zięciu, dajże temu pokój i nie wyobrażaj sobie rzeczy nieprawdopodobnych. Helena rzeczywiście jest nieco trzpiotowatą i lekkomyślną, przyznaję to, lecz ona ciebie, książe, kocha—przepada za tobą!..

Książe. (*śmiejąc się*). Ha, ha, ha... kocha! ona... przepada za mną! Zapewne żartujesz sobie prezesie? i mówisz to, w co sam nie wierzysz.

Giełduch. Zawsze mówię prawdę i to co myślę—to moja zasada.

Książe. Ale tego, co myślisz—zwykle nie wypowiadasz—to też zasada. Ożeniłem się z twoją córką, mój teściu, dla pieniędzy i tego wcale nie ukrywam. Helena zaś wyszła za mnie, ponieważ noszę tytuł księcia i należę do wyższej arystokracji. Przez takie ożenienie się ozłociłem cokolwiek moją mitrę księżęcą, ogoloconą dotąd i zbrukaną. Popelnilem mezalians—ale stało się i pod tym względem do nikogo nie mogę rościć pretensyi, chyba do samego siebie. Córka zaś twoja, prezesie, wychodząc za mnie, odrazu, jako księżna, zrobiła karierę i weszła do naszego wyższego towarzystwa. O miłości tu zatem nie może być mowy. asze sfery, jak również i usposobienia są różne... pieniądz jedynie w tym wypadku—jak zresztą i w innych—gra rolę pierwszorzędną.

Giełduch. Tak! pieniądz to grunt—taka moja zasada... to jest niezupełnie, źle się wyraziłem, bo chciałem właśnie powiedzieć, że zgoda—to grunt. Klasy społeczne powinny się łączyć i razem ręka w rękę dążyć do wspólnego celu. Małżeństwa właśnie ułatwiają to łączenie się i dopomagają przytem do rozstrzygnięcia zadań i kwestyj socyalnych. Zgoda i jedność!.. pieniądz zaś służy tu za motor, który jak woda, spadająca na koło młyńskie, obraca je, i bez którego też koło naszego życia na ziemi pozostałoby w stanie nierucho-

mym, bezwładnym, a ziarno posiane nie wydałoby pożądanego plonu. Pieniądz łagodzi stosunki, uprzyjemnia życie i prowadzi—jak powiedziałem—do zgody i szczęścia (*obejmuje księcia*). Zgoda więc, kochany zięciu; zaręczam ci, że Helena zmieni swój sposób postępowania.

Książę. Trzymam cię za słowo, mój teściu. Pragnąłem cię tylko uprzedzić, abys sam zwrócił uwagę na postępowanie Heleny i zajął się tą sprawą.

Giełduch. Bądź spokojny i dobrej myśli. Helena lubi flirtować i nieco kokietować, ale to już taka moda, lecz nie można jej posądzać o coś gorszego, występnego... A! bójże się Boga! Ja sam, gdybym coś podobnego spostrzegł w postępowaniu Heleny, wyrzekłbym jej się, choć moja własna córka—słowo honoru—to już taka moja zasada... Ale à propos, mój zięciu, widujemy się dość rzadko, powiedz mi: może znajdujesz się obecnie w potrzebie i jesteś à court d'argent? mógłbym ci dostarczyć pewnej sumki...

Książę. Tak, rzeczywiście! chciałem właśnie o tem z tobą, mój teściu, kilka słów pomówić.

Giełduch. Ależ z największą przyjemnością, nie zenuj się i jutro w kasie otrzymasz wiele ci będzie potrzeba (*d. s.*) Drogo on mnie kosztuje. (*do księcia*) Zagadaliśmy się trochę, wracajmy do gości (*odchodzą*).

S C E N A V.

Giełduch i Mogilson.

Mogilson. (*wchodzi z lewej strony i spostrzegając prezesa, zwraca się do niego*) Panie prezesie, proszę na słówko!

Giełduch. A, Mogilson—przepraszam cię książę (*książę odchodzi*). Cóż takiego?

Mogilson. Oto depesza do pana prezesa, którą przed chwilą otrzymałem.

Giełduch (*otwiera depeszę*). Z Berlina, Dobrze! papiery idą w górę—rubel spada—wybornie! jutro na giełdzie należy rozgłosić wieści alarmujące w kwestyi polityki wschodniej, o zbrojeniu się Niemiec, Anglii i t. p. Rozumiesz pan? Z tego telegramu wnioskuję, że za kilka dni sytuacja się zmieni i do tego czasu milczenie absolutne! To już nasza sprawa! Prócz mnie i pana nikt nie powinien niczego się domyslać; należy korzystać i kuć żelazo póki gorące, a jestem pewny, iż w godzinę zarobimy parę milionków. Zakupić też bezwarunkowo papiery 3-ej emisji wewnętrznej pożyczki—wiele się da, i których kupony bank złotem wypłaca. Rozumiesz pan?

Mogilson. Rozumiem, i wszystko załatwię podług życzenia pana prezesa. To już moja rzecz!

Giełduch. O! wiem dobrze, żeś mądry i sprytny Mogilsonie. Jeśli Bóg da,—a mam nie płonne nadzieje—to wkrótce zapewne wyżej się jeszcze podniosę i może mi spaść z nieba portfel ministra finansów... a wówczas i Mogilson, jako moja prawa ręka, osiągnie urząd godny siebie, a który mu się będzie słusznie należał.

Mogilson. Oby Bóg dał coprędzej. Wdzięczność moja dla pana prezesa niema granic.

Giełduch. Ale, zapomniałem. Proszę pana, oto są bruliony notatek, dotyczących się balu dzisiejsiego. Jutrzejsze gazety powinny je wydrukować. (*Czyta*) «W salonach prezesostwa Giełduchów odbył się wczoraj wspaniały bal—można powiedzieć najświetniejszy w bieżącym karnawale. Cała śmietanka wyższego towarzystwa krajowego, arystokracji rodowej i finansowej dała sobie *rendez vous* i zapelniała salony prezesostwa. Znana staropolska gościnność gospodarzy»... (*mówi*) i tak dalej. «Pomiędzy wielu dostojnikami, piastującymi wyższe urzędy w kraju, zauważyliśmy panów» i tak dalej—wymienić należy nazwiska. «Z arystokracji wymienimy

tylko:» Księcia takiego to, hrabiego etc. «Wspaniałe tualety dam i znane piękności naszego grodu tworzyły istny bukiet kwiatów, jakby podzwrotnikowego słońca» i tak dalej. «Urodą i wdziękiem królowały i odznaczały się panie» i tak dalej—idą nazwiska. «Podług ogólnego zdania zmuszeni jesteśmy oddać berło pierwszeństwa hrabinie Julii Lipińskiej, jako królowej balu, czarującej swą pięknnością, młodością i powabem». Kładę nacisk na ten ostatni ustęp, o to głównie mi chodzi. Zrozumiałeś pan?

Mogilson. Rozumiem, rozumiem.

Giełduch. (*czyta dalej*). «Do wykwintnej kolacyi zasiadło przeszło 300 osób. Tańce ohoce i ożywione przeciągnęły się do samego rana.» (*Mówi*) Do każdej gazety, uważasz pan—należy ten sam opis podać w odmiennych nieco słowach. Pozostawiam to już panu do ułożenia i zredagowania (*oddaje mu bruliony*).

Mogilson. Ułożę wszystko i podam do druku podług rozkazu pana prezesa. (*Muzyka przestaje grać*).

Giełduch. Liczę na pana (*odchodzi*).

Mogilson. (*sam do siebie*) O Giełduch—to wielki człowiek! Zna się na geszeftach... i jeżeli ta gwiazda powodzenia i szczęścia dłużej będzie świecić nad jego głową, wkrótce chyba zrówna się on z samym Rotszyldem. Nie darmo płynie w mim nasza krew: żydowska! (*odchodzi na lewo*)

S C E N A VI.

Hr. Roman i Julia (*wchodzą z prawej strony—dalej osobno wchodzą z lewej*) Marya i doktor (*rozmawiając z sobą*).

Julia. Jesteś więc, Romanie, zdecydowany przyjąć propozycję prezesa?

Hr. Roman. Przyjmuje—niema innego ratunku.

Julia. Jaki on może mieć w tem interes? Bez korzyści dla siebie nie zaproponowałby ci nigdy. Co się tyczy mojej osoby, *il me fait la cour*, zaleca się do mnie w sposób trywialny i takie z jego strony postępowanie ubliża mi a przytem zatrważa.

Hr. Roman. Wy, kobiety, macie pasyę przesadzać we wszystkim. Prezes jest dla ciebie grzecznym i uprzejmym—nic więcej, a we mnie widzi swego przyszłego współnika czyli raczej towarzysza i człowieka, który może mu oddać pewne usługi. Zapewne, że on tego nie czyni jedynie dla moich pięknych oczów, lecz pragnąc nam dopomódz, zamierza przytem i dla siebie wyciągnąć jakieś korzyści.

Julia. W jego pomoc nie wierzę, to jest strasznie niebezpieczny człowiek.

Hr. Roman Cóż mam począć? Dziwne doprawdy miewasz poglądy i jakieś obawy! Gielduch jest dzisiaj znaną i szanowaną osobistością w świecie finansowym. Z nim się wszyscy liczą, ubiegając się o jego względy i protekcję. Trudna rada, może on być niesympatycznym i nieuczciwym nawet, lecz tej nieuczciwości w jego interesach nikt datąd zauważyć nie potrafił. Brak na to wszelkich faktów i dowodów. Zazdrość i zawiść oto są główne czynniki tej ku niemu niechęci. On się dorobił fortuny i znaczenia, a inni nic—i to wszystko.

Julia. Jego każde słowo kłuje jak sztyletem, bõ z nich wyzieraają fałsz i obluda. A ten jego słodki uśmiech dreszczem mnie przejmuje.

Hr. Roman. Co ty pleciesz?

Julia. Na mnie wywiera on przygnębiające wrażenie, doznaję jakiegoś uczucia przerażającej obawy i bezwładny.

Hr. Roman. Ależ przestań! Jestem przekonany, że przy bliższem poznaniu znikną w tobie te wszelkie uprzedzenia i obawy względem osoby prezesa i że będziecie z sobą w najlepszych stosunkach. To jest towarzyski człowiek—ale

wy kobiety jesteście zawsze przesadne i często o ludziach macie najfałszywsze zdanie i przekonanie.

Julia. O, nie! mylisz się Romanie. Najczęściej kobieta swym instynktem uczuciowym czy zmysłowym przeczuwa i domyśla się...

Hr. Roman. No! dajmy temu pokój. Wiesz dobrze Julio w jakim obecnie znajdujemy się fatalnem położeniu: jesteśmy zrujnowani i w długach po uszy. Sam nie wiem—dobrze czy źle czynię. Gielduch może być wstrętnym—wszystko jedno—i na to nie możemy zwracać uwagi, lecz powinniśmy dążyć po drodze, która się przed nami odkrywa. Musimy się chwycić tego, co nas zdoła wyciągnąć z biedy i upadku. Będę usilnie pracował, a mam nadzieję, że wkrótce przy pomocy Gielducha wybrnę z interesów i stanę na nogach. Przecież jedynie dla ciebie pragnę tego Julio, bo nie mogę patrzeć bezczynnie, byś miała nadal pozostać w takim stanie.

Julia O, mój najdroższy, poświęcasz się dla mnie—wiem o tem. Lecz ja również przy twoim boku gotowam na wszelkie poświęcenia i niedostatki, bo cię kocham. Gdybyśmy jednak mogli wynaleść jaki inny środek i szukać gdzie indziej ratunku...

Hr. Roman. Niepodobna! Wszędzie próbowałem i wszystkie już robiłem starania, obecnie prócz Gielducha niema dla nas innego ratunku—to też zdecydowałem się ostatecznie. Zrozum Julio, albożmy, szlachta, z temi mitrami książęcemi i hrabiowskiemi na głowach, mamy marnie ginać, spoglądając obojętnie na tych, co się pną do góry i swą pracą, sprytem lub umiejętnością tworzą fortuny, chwytają władzę do rąk i pragną nad nami panować? Dosyć tego! Bawiłem się dotychczas w koniki, grałem w karty, prowadziłem życie nad stan i bezcelowe,—no, i koniec końców doszedłem do nędzy. Teraz biorę się seryo do rzeczy: zacznę pracować, a niech i inni wstępują w moje ślady. My nic nie umiemy, niczegośmy się nie nauczyli, a i błędów i wad

swych nie pozbyliśmy się dotąd. Dumę tę głupią raz należy z siebie zrzucić i chociaż to ciężko a nawet wstrętne, wstępować w szeregi armii aferzystów, lecz niemożliwe—powtarzam—pozostawać nadal beczynnym i nie brać udziału w tej walce o byt i życie, gdyż inaczej zginiemy z kretesem. Proszę cię, Julio, uspokój się, bo zasmucasz mnie bardzo i odbierasz mi wszelką energię.

Julia. Będę ci posłuszną, mój drogi.

Hr. Roman. Proszę cię, bądź też o ile można dla prezeza wężej uprzejmą i łaskawą, przecież tu chodzi o naszą własną skórę. Z czasem, jestem przekonany, wszystko się ułagodzi i moja Julia odzyska swe pogodne czoło i radośny uśmiech. *(odchodzą nieco w głąb sceny, a następnie zbliżają się na lewo do Maryi i doktora).*

Marya *(do doktora).* To oświadczenie Henryka Sakowicza zdumiewa mnie i przeraża. Nigdy nie przypuszczałam, żeby Zofia... sama nie wiem, co począć?

Doktor. Należy niezwłocznie pomówić z Zofią, wybać ją i od niej samej się dowiedzieć. Przypuszczam, że musieli się oboje z sobą porozumieć, i że Henryk zamierza działać stanowczo, a nawet dziś jeszcze, jak to wywnioskowałem z jego słów.

Marya. I to właśnie w chwili, gdy Zofii przedstawiają się dwie świetne partye. Zapewne dla tego pan Henryk pragnie przyspieszyć wypadki i skorzystać z tego balu. Jeżeli zaś Zofia zgodziła się na projekt pana Henryka i oni zamierzają wspólnie działać, to obawiam się stąd groźnych następstw, a może już jutro będzie zapóźno temu zapobiedz. Mąż mój marzy o innej partyi dla Zofii—pan Henryk zaś...

Doktor. O panu Henryku i mowy być nie może. Prezes na takie wydanie za mąż Zofii nigdy się nie zgodzi—o tem ani myśleć. W celu zatem zapobieżenia jakim niepożądanym

scenom i przykrym zajściom wypada mieć się na baczności. Trzeba postępować ostrożnie i czuwać nad nimi.

Marya. Odszukam Zosię i z nią pomówię.

Doktor. Ja zaś będę śledził za panem Henrykiem i prezesem (*Hr. Roman i Julia zbliżają się do Maryi, doktor odchodzi.*)

S C E N A VII.

Giełduch (*wchodzi śpiesznie.*)

Giełduch. Nareszcie znajduję młodą parę... zawsze nierozłączoną. Właśnie poszukiwałem królowę naszego balu, która się tak dyskretnie chroni i nie raczy przyjmować udziału w gronie tańczących.

Hr. Roman. Rozmawialiśmy właśnie z panią prezesową. (*Marya z Julią odchodzą w głąb sceny. — Orkiestra gra pierwsze taktę mazura.*)

Giełduch. (*biorąc za ramię hr. Romana.*) A zatem, kochany hrabio, między nami sprawa ukartowana i skończona. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży dla nas obydwóch jak najpomyślniej, pragnę bowiem szczerze, aby twoje sprawy finansowe, hrabio, mogły w krótkim czasie wziąć pożądaną obrót i powróciły do pierwotnego stanu... ba! nawet lepszego jeszcze—taka moja zasada! Biedna hrabina, na jej pięknej twarzyczce maluje się smutek i przygnębienie, lecz wkrótce to wszystko się zmieni. (*Z drugiego salonu słychać głos Filipowicza: «prosimy do mazura»!*)

Hr. Roman. Ona wiele przecierpiała z mojej winy, jestem ci przeto, prezesie, niezmiernie wdzięczny i obowiązany.

Giełduch. Niema o czem gadać! (*Orkiestra gra mazura, goście tańczą — Julia z Maryą znikają w drugim salonie.*)

Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem—to moja zasada. Chciałem ci, hrabio, zaproponować jeszcze pewną kombinację, polegającą na tem, że właśnie teraz tu w moim pałacu znajduje się wolny apartament, nie zbyt obszerny co prawda, lecz wygodny. Otóż jeżeli uznacie to dla siebie za rzecz odpowiednią i dogodną, proszę was, bez żadnych ceremonji przenieście się do pałacu, czyli do tego mieszkania. *(W czasie rozmowy zjawia się Henryk w głębi sceny i spogląda na rozmawiających.)*. My się tam porachujemy, a dla ciebie, hrabio, jak również i dla mnie takie bliskie sąsiedztwo przedstawi wiele korzyści w naszych codziennych stosunkach i zajęciach, ponieważ moje biuro i kancelarya znajdują się w pałacu. Przez to uniknie się wiele niedogodności, a głównie straty czasu. Będę cię miał, hrabio, zawsze pod ręką—że się tak ośmielę wyrazić—a przytem będę miał przyjemność.

Hr. Roman. Postąpię, prezesie, podług twego życzenia, lecz to już będzie z mojej strony nadużyciem twej dobroci i łaski.

Giełduch. Ależ kochany hrabio, żadna tu łaska lub dobroć nie gra roli. Ja mam na oku przedewszystkiem mój własny interes a zarazem i twój także. Oddając wam pomieszczenie, o którym mowa, nie sam na tem nie tracę, owszem przeciwnie — z drugiej zaś strony wygram bezwarunkowo miłe sąsiedztwo i towarzystwo. *(odchodzi.—Henryk zbliża się do nich.)*.

S C E N A VIII.

Giełduch i Henryk.

Henryk. *(do Giełducha)* Pragnąłem z prezesem pomówić.

Giełduch. *(opuszcza hr. Romana, który odchodzi do drugiego salonu)*. Co takiego? jakaś ważna sprawa?

Henryk. Tak ważna i niecierpiąca zwłoki.

Giełduch. Jakto? nie rozumiem! przecież to czas niestosowny do interesów; odłóż ją pan do jutra, teraz—widzi pan—nie mam czasu.

Henryk. Niepodobna! Kwestya dziś jeszcze powinna się rozstrzygnąć.

Giełduch. Jaka kwestya? mów pan prędzej.

Henryk. Proszę pana prezesa o rękę jego córki, panny Zofii.

Giełduch. (*przerażony ze zdziwienia*) Co?! co takiego? co pan mówisz?

Henryk. Kocham pannę Zofię i proszę o jej rękę.

Giełduch. Zwarjowałeś pan chyba? ha! ha! ha!..

Henryk. Mówię seryo i jestem przy zdrowych zmysłach.

Giełduch. Żałuję pana mocno i przykro mi jest słyszeć z ust pańskich podobne oświadczenie. Służysz pan u mnie, zarabiasz na kawałek chleba, pragnąłem ci bowiem panie Henryku dopomódz, wobec zaś pańskiego wyznania—jeśli je natychmiast nie cofniesz,—będę zmuszony odmówić panu zajmowanej posady. Nadużyłeś mej łaski i względów—jesteś niewdzięczny... to niegodnie z pańskiej strony. Zostaw mnie samego (*chce odejść*).

Henryk. Proszę, wstrzymaj się prezesie jeszcze na chwilę. Przewidziałem wszystkie pańskie argumenta i zarzuty, jakie w tym wypadku możesz uczynić panie prezesie, jak również odmowę na moją prośbę. Jednak nie mogę ustąpić i godnie czy niegodnie po raz trzeci oświadczam i proszę..

Giełduch. Skończmy już raz to gadanie! Odmawiam panu i koniec.

Henryk. Kocham pannę Zofię i z jej strony zaskarbiłem sobie również wzajemność. Ona oddała mi swoje serce i gotowa oddać swą rękę.

Giełduch. Ona?! Kłamiesz pan—to fałsz!

Henryk. Mówię prawdę. Zresztą, panie prezesie, możesz się sam przekonać. W przeciwnym wypadku nie ośmieliłbym się....

Giełduch, (przerywając). Zresztą, jakie tam istnieją uczucia i sentymenta mojej córki względem pańskiej osoby, mnie to mało obchodzi. Wkradłeś się pan zdradziecko do serca młodej dziewczyny, nieświadomej swych uczuć i postępów—to podle!

Henryk. Panie prezesie, miarkuj swe słowa.

Giełduch. Tak jest! nie cofam moich słów—to moja zasada. Ta jej miłość, jeżeli rzeczywiście istnieje, nie potrwa długo, a co się tyczy zamążpójścia—postąpi ona podług mej woli i mego rozkazu. Za pana zaś nigdy w świecie!

Henryk. Jestem człowiekiem pracy i uczciwie zarabiam na kawałek chleba. Zapewne dla tego?

Giełduch. Tak! a przytem bez grosza funduszu i w dodatku... bez nazwiska. Pragniesz więc pan skorzystać ze zdarzenia i za jednym zamachem uczciwie też zagarnąć sobie posag mojej córki. To wcale nie głupio z pańskiej strony.

Henryk. Chociażby i tak było, jeżeli pan tego pragniesz koniecznie. Pokochała mnie dziewczyna bogata—takie moje szczęście, i rzeczywiście byłoby głupio żebym z podobnego wypadku nie skorzystał. Pan prezes, jako bankier i aferzysta, powinien najlepiej ocenić i zrozumieć mój postępek.

Giełduch. Milcz pan i więcej ani słowa! Zawróciłeś głowę dziewczynie i już tryumfujesz, mniemając, że wygrałeś sprawę. Ale ja tu jestem i od tej chwili moja córka bez mego zezwolenia nie przestąpi progu tego domu, z panem zaś więcej się nie będzie widzieć. Oddał się pan stąd natychmiast.

Henryk. Radzę panu prezesowi w tym wypadku postępować ostrożnie i oględnie, albowiem w przeciwnym razie mogą wyniknąć dla niego skutki fatalne i dom jego kompromitujące. Ja się nie cofnę z mego stanowiska. Dałem słowo

pannie Zofii, że wytrwam do końca, i cokolwiekby się stać miało mej przysięgi dotrzymam.

Giełduch (*lekceważąco*). Jakie słowo?! jakiej tam przysięgi?! Progniesz pan widocznie wyprowadzić mnie z cierpliwości. Dość tego!

Henryk. Pragnę przedewszystkiem unikać skandalu. Radzę panu prezesowi spokojnie się namyśleć i nie odrzucać mego oświadczenia.

Giełduch. Rad pańskich nie potrzebuję. Odrzucam wszelkie pańskie oświadczenia, bo wreszcie musisz pan wiedzieć, że za takich ludzi jak pan, chociażby najuczciwszych, lecz bez nazwiska, jako bękartów, nie wydaje się za mąż córek z porządnego domu.

Henryk. A! nareszcie! Oczekiwałem takiego *dictum* z pańskiej strony i dziwiłem się, że go dotąd jeszcze nie usłyszałem. Alboż ja się pana pytam, jakie jest pańskie pochodzenie? od kogo się pan rodzisz? i jaki jest początek pańskiej olbrzymiej fortuny? Jednak ożeniłeś się pan też z osobą, posiadającą majątek. Tak, jestem dzieckiem nieprawego łoża i z tem się nie ukrywam—to mój największy występki i jedyny zapewne. Lecz gdybyś panie prezesie zachciał choć na chwilę wejść w moje położenie, zrozumiałbyś łatwo że wstępuję poniekąd w twoje ślady i że pragnę również dobić się majątku, stanąć na pewnym społecznym stanowisku, aby swoje niewiadome pochodzenie zrehabilitować i spuścić na nie zasłonę. Mam matkę, zasnę, świętą kobietę, którą kocham, czczę i szanuję; o ojcu moim nigdy nie słyszałem i niewiem kto on był.

Giełduch (*zamyślony*). Posłuchaj, panie Henryku, pragnę już raz zakończyć tę przykrą dla nas rozmowę. Możemy zgodnie całą sprawę załagodzić i uporządkować (*d. s.*) Tu całą rzecz w pieniądzech (*do Henryka*). Ofiaruję ci 50.000 rubli, abyś się zrzekł wszelkich pretensyj względem mojej córki.

Henryk. Ależ, panie prezesie, to są chyba żarty!

Giełduch. Jaktó? więc to zamalo? Daję ci panie 100,000 rubli—to chyba dosyć.

Henryk. Panie prezesie, nie jestem podłym człowiekiem... odmawiam!

Giełduch. Więc wiele żadasz ostatecznie?

Henryk. Nie jestem handlarzem, ani geszefciarzem i nie potrafię frymarczyć uczuciem, a danego słowa nie sprzedam za żadne pieniądze.

Giełduch. Tylko pragniesz tanim kosztem osiąść miliony, gdybyś został moim zięciem—to już lepszy interes. Omyliłeś się jednak, kochany panie, w swoich rachubach i zamiarach. Daję 100.000 rubli, przyjmij je i bądź wdzięczny i pokorny. Wygrywasz je jakby na loteryi i odrazu zdobywasz fundusz, odrzucając te pieniądze — tracisz wszystko. (*Zofia odłącza się od tańczących i zbliża się na środek sceny*).

Henryk. Odrzucam pańską propozycję — powiedziałem już. Zofia powinna, musi zostać moją żoną wbrew pańskiej woli i chęci.

Giełduch. Nigdy ! oddal się pan stąd!

Henryk. Panie prezesie będziesz zmuszony zgodzić się i przystać, skoro się dowiesz...

Giełduch. Cóż takiego? o czym?

Henryk. Zofia oddała mi się i od dwóch miesięcy została...

Giełduch. Co? pańską kochanką?

Henryk. Powiedziałeś panie prezesie — stało się!

Giełduch (*rzuca się na Henryka*). A! nikczemniku!

(*Z lewej strony wchodzi: doktor i Marya*).

SCENA IX.

Gięduch, Henryk, Zofia, Marya i doktor.

Zofia (pada na kolana przed Gięduchem) Papo! łaski, przebaczenia!

Gięduch. A, podli! nędznicy! Ty! ty paskudnico! wyrodna córko (*podnosi nogę i zamierza kopnąć Zofię, w tej chwili doktor wstrzymuje go i odpycha, Henryk podnosi Zofię*).

Henryk. Uprzedzałem pana prezesa w celu uniknięcia skandalu i wszelkich awantur, tembardziej, że jego córka znajduje się już w stanie...

Gięduch (rzuca się na nich z kulakami). A! bezczelni!

Doktor. Prezesie, wstrzymaj się! Zaklinam cię, więcej zimnej krwi i rozsądku. Wybuchy gniewu, ani twoje oburzenie nie tu nie pomogą i sprawy nie polepszą. Wracaj, prezesie, do gości w salonie. Cała ta historia może się rozejść w jednej chwili i stać się głośną. Należy chociaż pozory zachować.

Gięduch. Masz słusność doktorze, uniosłem się, lecz cóż mam począć? Straciłem zmysły i równowagę.. Osądź sam doktorze. I to spada na mnie jak grom właśnie w chwili, gdy staję już prawie u szczytu mej potęgi. Precz stąd niegodziwcy! złamię ja was i upokorzę, a wszelkie przeskody przezwycięzę... Nie dopuszczę, nie! nie dopuszczę!

Henryk (do Zofii). Bądź przygotowaną, Zofio. W czasie kolacyi niespostrzeżenie opuścisz towarzystwo, pójdziesz do siebie, narzucisz futro a ja będę cię oczekiwał tutaj w tym salonie, koło wyjścia.

Zofia. Dobrze! (*Doktor zbliża się do Zofii, bierze ją za rękę i odprowadza. — Muzyka przestaje grać.*)

SCENA X.

Ciż sami prócz Zofii i doktora. Wchodzi Helena i z zdziwieniem patrzy na obecnych.

Giełduch (*do Maryi*). Pięknieś, moja pani, pilnowała swojej córki i nią się opiekowała. Oto są rezultaty.

Marya. Ja temu nie winna. Na uwięzi jej trzymać nie mogłam; sam pragnałeś jej emancypacyi, bywania w świecie. sam wprowadziłeś Henryka do naszego domu.

Giełduch. Zapewne, lecz obowiązkiem matki było czuwać... ale stało się i wszelkie wymówki są już teraz nie na miejscu. Proszę cię, Maryo, zaraz po skończonym balu wywieziesz Zofię z miasta pierwszym pociągiem i udacie się za granicę. Paszporty oraz wszelkie niezbędne wskazówki będą ci dostarczone na czas oznaczony—takie jest moje życzenie.

Marya. Stanie się podług twej woli.

Giełduch. Przypuszczam Maryo, że sama się ze mną zgodzisz i nic nie będziesz miała przeciwko temu...

Helena (*do Maryi*). Mamo, co tu się dzieje? (*rozmawiając z sobą, odchodzą*).

Giełduch (*podchodzi do Henryka*). Jeszcze jedno i ostatnie słowo.

Henryk. Słucham pana.

Giełduch. Pomimo haniebnego podstępu, jakiego użyliście oboje w celu doprowadzenia do skutku swych niecnych zamiarów i pomimo, żeś pan uwiódł i zhańbił moje dziecko, wprowadzając je w stan...

Henryk. Pragnę szczerze mój postępek naprawić.

Giełduch. Ja mego słowa nie cofnę i córkę mojej za pana nie wydam.

Henryk. Jako?!

Giełduch. Dla uniknięcia skandalu familijnego, jakoteż dalszych rozpraw i historii, proponuję panu jeszcze raz przyjęcie odemnie większej kwoty w sumie 200.000 rubli i pozostanie nadal przy swym obowiązku w moim domu—pod warunkiem, że tajemnica stosunku pana do mojej córki będzie najsumienniejsz z pańskiej strony zachowana.

Henryk. Innemi słowy za pieniądze mam się wyzuć czci i sumienia, porzucić tę, którą kocham i która mnie kocha i która ma pozostać matką mego dziecka. Cóż pan z niem poczniesz?

Giełduch. Załatwię się z dzieckiem, to już moja rzecz

Henryk. Ależ to dziecko,—to moje.

Giełduch. Wielka rzecz, że pańskie. We własnym interesie powinieneś go się pan pozbyć i zapomnieć o niem. Zresztą, to jeszcze pytanie...

Henryk. A! teraz pojmuje pańskie zamiary: Wywieziesz pan gdziebądź swoją córkę i ukryjesz ją przed ludźmi, a z dzieckiem postąpisz podług zgóry powziętego planu: zglądzenia go może jeszcze w łonie swej matki? I to pan mnie proponujesz? ojcu tego dziecka, bym był w pańskiej sprawie współnikiem i dzieciobójcą? To okropnie i potwornie.

Giełduch. Nie udawaj pan tak sentymentalnego i oburzonego, a przytem czulego ojca dziecka, które nie istnieje i które pomimo pańskich chęci—może jeszcze nie ujrzy światła bożego. Puste pańskie słowa nie mogą sprawić na mnie żadnego wrażenia i historią tego dziecka nie dam się wam złapać na wędkę. Zresztą, mylisz się pan, nie jestem żadnym mordercą.

Henryk. Lecz nim pragniesz zostać! A ja za te 200.000 rs. mam się wyrzec żony, dziecka i być jeszcze występny zbrodnią? Popeniłem błąd, niegodny postępek, tłómacz go sobie pan jak mu się podoba, lecz zgodzić się na pańskie

warunki byłoby to już z mej strony szczytem podłości i nikiemności.

Giełduch. Z dzieckiem tem, o które ci panie tyle chodzi, jeśli ono ujrzy światło dzienne, postąpisz pan podług swego uznania i upodobania. Ja temu nie stanę na przeszkodzie—zaręczam słowem. Wcale nie myślę bawić się tym fantem, bez wszelkich zatem wyrzutów możesz pan przyjąć moją kombinacyę, którą ci przedstawiam.

Henryk. Moje dziecko nie będzie bękartem, dosyć już, że ja nim jestem. Odrzucam stanowczo wszelkie pańskie kombinacye i propozycye, pragnę zostać mężem Zofii i ojcem mego dziecka.

Giełduch. Nie będziesz pan ani jednym, ani drugim.

Henryk. Zobaczymy! Żegnam pana (*odchodzi na prawo*).

S C E N A XI.

Giełduch i Helena.

Giełduch (*chwiejąc się, idzie i pada na fotel*). O, nikiemni! Głowa moja, moja biedna głowa (*chwyta się za głowę*) pęknie chyba.

Helena (*śpiesznie zbliża się do Giełducha*). Papo! papo! powstań i chodź, kolacya już zaraz!

Giełduch (*przychodzi do siebie*). Co takiego? kolacya? Prawda... zapomniałem... Co za fatalność!... idę! (*wychodzą na lewo. Chwilowo na scenie pusto, orkiestra za sceną gra poloneza; następnie występują z drugiego salonu parami, idąc polonezem wzdłuż sceny z prawej na lewą: Giełduch uśmiechnięty w pierwszej parze z hr. Julią, dalej Roman z Maryą i t. d. Po przejściu wszystkich par scena znowu chwilowo opróżniona*).

S C E N A XII.

Z o f i a i H e l e n a .

Zofia (*śpiesznie wychodzi z lewej strony, w ślad za nią idzie Helena*).

Helena. Zosiu, gdzie idziesz?

Zofia. Jestem nieco cierpiąca i teraz przy kolacji moja nieobecność nie będzie spostrzeżoną. Muszę odpocząć.

Helena. Zosiu, znajdujesz się na złej drodze. Ten pan Henryk zawrócił ci głowę; powinnaś naprawić popełniony błąd.

Zofia. Jaki błąd.

Helena. Nie udawaj przedemną. Wiem o wszystkim, bądź rozsądną i nie idź na przekór życzeniu i woli ojca. Porzuc ten romans nieszczęśliwy z panem Henrykiem.

Zofia. Ja go kocham i powinnam go zaślubić.

Helena. Kochasz, kochasz!—to bardzo pięknie i nikt ci tego nie wzbrania, lecz pozostać jego żoną...

Zofia. Tak! będę jego żoną albo umrę.

Helena. Przestań bredzić. Bierz lepiej ze mnie przykład. Wysłałam za księcia, bryluję w świecie, wszyscy składają mi hołdy, młodzież uwija się w około mnie i mam tylko *embaras du choix* w wyborze kochanka; postępuję jak mi się podoba.

Zofia. Za twoim przykładem nie pójdę, Heleno, ponieważ twoje postępowanie pod każdym względem jest niepiękne i nieuczciwe. Ja pragnę pozostać wierną i kochającą żoną i uczciwą matką moich dzieci.

Helena. Jesteś jeszcze zanadto młodą i niepraktyczną, chociaż już — nie będąc zamężną — miałaś czas wpaść w objęcia kochanka. *Cela c'est mauvais genre*, i co nie jest przyjętem i dobrze widzianem, w wyższem i dobrem towa-

rzystwie.—Po zamążpójściu możesz sobie fundować kochanków wiele ci się spodoba. Muszę cię zapewnić, że gdybyś na nieszczęście w ten twój oblakaniu wyszła za mąż za tego pana Henryka, człowieka bez stanowiska, podrzędnego adwokata i w dodatku bękarta, wszystkie drzwi salonów naszej arystokracji będą przed tobą zamknięte. Ja sama będę zniewoloną wyrzec się ciebie, jako siostry, a dla całej naszej rodziny będzie to wstyd i hańba.

Zofia. Henryka pokochałam nieświadomie, lecz szczerze i serdecznie—w tem polega cała moja wina. Oboje pragniemy naprawić błąd, popełniony w chwili zapomnienia i namiętnego uścisku. On jest uczciwym i prawym człowiekiem i czuje, że z nim będę szczęśliwą i że jego również uszczęśliwię. Odepchniecie nas, powiadasz, i zamkniecie przed nami drzwi waszych domów—to mnie wszystko jedno, bo jeżeli za mój postępek i spełnienie obowiązku ty, Heleno, jako księżna i dama światowa, wyrzekniesz się mnie, jako swej siostry, noszącej nazwisko człowieka pracy i którego kocham—to ja tobą pogardzę. Tyś kobieta bez serca i w dodatku występna!

Helena. Twoje gadanie niema sensu i mnie nie rozczula, tylko litością przejmuję. Ślepa i bezmyślna miłość opętała twoje zmysły, opamiętaj się Zofio, póki czas; pomnij, że również rodzice się ciebie wyrzekną. Ostrzegam cię, bo dobrowolnie lecisz w przepaść.

Zofia. Chociażby w niedostatku i nędzy, lecz postąpię podług sumienia i popędu serca, jako kobieta uczciwa i kochająca matka—i taką pozostanę do końca życia.

Helena. Głupia! *(odchodzi na lewo do drugiego salonu. Zofia wychodzi na lewo pierwszymi drzwami).*

S C E N A XIII.

Henryk, Zofia i doktor.

(Henryk wchodzi z prawej strony w palcie i kapeluszu, po chwili zjawia się Zofia z lewej strony z chustką na głowie i w futrze. W drugim salonie ukazuje się doktor).

Henryk. *(obejmując Zofię).* Prędeż, Zosiu, uchodźmy, aby nas nikt nie spostrzegł. *(Za sceną słychać wiwaty, goście piją zdrowie Giełducha i Maryi.—Henryk z Zofią śpieszenie wychodzą przez drzwi na prawo).*

Doktor. *(spoglądając za odchodzącymi).* Stało się! niech i tak będzie... niema innego rozwiązania!

Zasłona spada.

AKT II.

Gabinet Giełducha w oddziale Banku.

SCENA I.

(Hr. Roman siedzi i pisze przy biurku po prawej stronie, dalej nieco drzwi na prawo. W środku sceny wielki stół, biuro Giełducha. W głębi wielkie drzwi otwarte, za którymi widoczne są inne biura bankowe. Na lewo też drzwi).

Hr. Roman i Mogilson.

(Po podniesieniu zasłony wchodzi Mogilson środkowymi drzwiami).

Hr. Roman. A! pan Mogilson, dzień dobry! Prezesa pan nie widziałeś?

Mogilson. Moje nszanowanie, panu hrabiemu *(podają sobie ręce)*. Prezes wkrótce nadejdzie, widziałem go przed chwilą.

Hr. Roman. Cóż się dzieje na giełdzie? Zapewne wracasz pan stamtąd?

Mogilson *(siada na lewo przy wielkim stole)*. Tak jest, wracam z giełdy. Akcye fabryczne wciąż szalenie idą w górę. Lilpopy od wczoraj podskoczyły od razu na 100 rubli. I końca

tej zwyczajki trudno przewidzieć, lecz należy mieć się na baczności.

Hr. Roman. Jak dotąd, to wcale nie źle, gramy przecież na zwyczajkę. A jak się trzymają papiery naszego banku, czyli «Wzajemnej Pomocy»?

Mogilson. «Wzajemna pomoc» trzyma się ostro i pomimo wszelkich starań i intryg strony przeciwnej, grającej na niżkę, akcje naszego banku podskoczyły o kilka rubli, dzięki—ma się rozumieć—sprytowi i energii pana prezesa. Aby nas tylko ten Figielman nie zdradził.

Hr. Roman. Jakto Figielman? on przecież z nami w spółce.

Mogilson. Tak! w spółce—lecz do czasu. Nie należy polegać na jego słowie i życzliwości. Oby tylko on nam jakiego figla nie wypłatał, bo Figielman to też potęga... a w rzeczywistości jest to zakulisowy rywal domu Gielducha i z nim wypada się liczyć.

Hr. Roman. Wątpię nieco, czy ta potęga Figielmana może rywalizować z potęgą naszego prezesa. Obrót roczny domu Gielducha da się obliczyć w cyfrze dochodzącej jakie pół miliarda rubli. To nie żarty!

Mogilson. Zapewne, w danej chwili żadna chyba firma finansowa nie tylko w naszym kraju, lecz i zagranicą nie zdoła zachwiać firmę domu Gielducha. Mam też nadzieję, że w krótkim czasie, jeśli wszystko pójdzie pomyślnie i według planu prezesa, zgnieciemy Figielmana, a on pozostanie naszym uniżonym sługą.

Hr. Roman. Zgnieciemy? jakim sposobem? Pan prezes, jestem przekonany, w swoich przedsięwzięciach i postępkach postępuje zawsze uczciwie i honorowo.

Mogilson. Któż o tem ośmieliłby się wątpić? Pan hrabia nie dobrze mnie zrozumiał. Figielman żyd i trzyma z żydami, my zaś, t. j. pan prezes, stoi na czele wielkiego krajowego przedsiębiorstwa finansowego i skupia wokół siebie

elementa chrześcijańskie i narodowe, a jako dzielny człowiek i patriota, ma jedynie na widoku dobro swego kraju przez podniesienie z upadku rolnictwa, rozwinięcie swojskiego przemysłu i handlu. To wielkie zadanie i jeżeli choć w części uda się panu prezesowi urzeczywistnić jego projekta i zamiary, oraz doprowadzić je do pożądanego rezultatu, wówczas społeczeństwo nasze wiele na tem zyska i potrafi, jak mniemam, ocenić zasługi pana prezesa i oddać mu hołd należny.

Hr. Roman. Zadanie to nie łatwe, przyznaję, tem bardziej, że podejmujemy walkę z tą hydrą semicką, która wszechwładnie opanowała cały nasz kraj, dlatego też sądzę, że zrywać z nią odrazu nie należy, lecz ostrożnie postępować i powoli przygarniać do siebie kapitały, będące w ich posiadaniu.

Mogilson. Taki właśnie jest nasz cel: zgnieść, czy nie zgnieść, lecz ich ubezwładnić i upokorzyć.

Hr. Roman. Ale zapomniałem, czy nie słyszałeś pan, jakie tam wieści kursują o wiedeńskim «Banku powszechnym»? Podobno interesa tego banku, według ostatnich telegramów—miały się zachwiać?

Mogilson. Bajki i nic więcej! To są li-tylko geszefciarskie spekulacye czyli gra na zwyżkę akcyj tego banku.

Hr. Roman. I ja to samo przypuszczałem, lecz przyznaję, że ogarnęła mną pewna obawa, ponieważ znaczne kapitały naszego domu są w tym banku zaangażowane.

Mogilson. Wistocie tak jest, panie hrabio, lecz o jakiejkolwiek likwidacyi i upadłości «Banku powszechnego» w danej chwili przypuścić trudno i niepodobna. «Powszechny» stoi mocno i nie może być zachwiany (*przeogląda papiery i czyta*).

S C E N A II.

Hr. Roman i Julia.

Julia. (*wchodzi z prawej strony*). Romanie, czy sam jesteś?
(*sposzrzegając Mogilsona*) A! przepraszam!

Mogilson. Bardzo proszę, pani hrabino, ja nie przeszkadzam (*wychodzi środkowemi drzwiami*).

Hr. Roman. (*wstając od biurka*). Czy masz do mnie jaki interes, Julio?

Julia. Tak! Wiecznie ten żyd... nie mogę go znieść!

Hr. Roman. Jaki żyd? Mogilson nie jest żydem.

Julia. Żartujesz! Romanie! Dosyć spojrzeć na niego

Hr. Roman. No, tak! on był żydem—to prawda, ale jest ochrzczony i przeszedł do naszego obozu.

Julia. I ty w to wierzysz? Tak samo, jak i Gielduch, również ochrzczony, jednak ojciec jego był najczystszy żydem.

Hr. Roman. Wszystko to być może, ale teraz jest najlepszym chrześcijaninem i obywatelem kraju. My walczymy z żydami!

Julia. My walczymy! Co za my?... Powiedz Gielduch, który odgrywa komedię katolicko-polską, a w gruncie rzeczy jest takim samym żydem, jak i wszyscy inni. Proszę cię, Romanie, nie mieszaj twego nazwiska z imieniem tego człowieka. Służysz u niego i nic więcej.

Hr. Roman. Służę bez zaprzeczenia, lecz przytem moje zajęcia związane są dzisiaj, złane poniekąd, z powodzeniem i dążnościami domu Gielducha. Tutaj, oprócz kwestyj czysto materyalnych grają rolę wyższe cele: utylitarne i społeczne. Ty tego Julio nie możesz zrozumieć.

Julia. Na nieszczęście... nie mogę.

Hr. Roman. Posłuchaj mnie Julio: Od chwili wstąpienia do banku. — a dopiero miesiąc upłynął-zarobiłem już kilkanaście tysięcy rubli i wkrótce, jeżeli tak dalej pójdzie, będę w możności spłacenia wszystkich moich długów.

Julia. Gielduch płaci ci miesięcznie 1.000 rubli pensyi, skądże więc wzięły się te kilkanaście?

Hr. Roman. Otóż zrozum na miłość Boga! Gielduch udzielił mi czy też pożyczył kilka tysięcy, za którą to sumę nabyłem akcyj kilku towarzystw. Ocecnie wartość tych akcyj potroiła się... gram na zwyżkę.

Julia. A jeżeli te akcye spadną odrazu?

Hr. Roman. Nigdy w świecie. Zresztą, to rzecz Gielducha, a on w tych sprawach mistrz swojego rodzaju.

Julia. Że mistrz, temu nie przeczę, lecz to wszystko nie podoba mi się. Proszę cię, chciałam spytać, czy pozostaniesz dzisiaj w domu?

Hr. Roman. Zepewne! — zresztą... nie wiem; jeszcze się nie widziałem z Gielduchem.

Julia. Zostań proszę, błagam cię. Pozostaję ciągle, całemi dniami zupełnie osamotnioną i znajduję się w ciągłej obawie.

Hr. Roman. Ależ interesa, jestem przecież na służbie. Nigdy ci tego chyba nie wytlómaczę.

Julia. Onegdaj podczas twej nieobecności zjawił się u mnie Gielduch bez żadnego anonsowania.

Hr. Roman: I cóż z tego?

Julia. Jakto: i cóż z tego? Zapewne! u was interesa przede wszystkim. Gielduch jest panem wszechwładnym, lecz on mi wcale nie prawił o żadnych interesach. Wprost zalecał się do mnie, prawił komplementa, a ja sama nie wiedziałam jak z nim postąpić i gdzie się podzięk, pragnęłam tylko drzwi mu wskazać.

Hr. Roman. Ależ Julio, ty mnie... ty nas oboje zgubisz!

Julia. Ten człowiek, jak tygrys, swym wzrokiem przenikliwym i piorunującym ubezwładnia mię i przygniata. O Romanie! jak ja go się boję... drzę cała przed nim! (*chwytając za rękę*),

Hr. Roman. Julio, znowu zaczynasz... (*środkowemi drzwiami wchodzi doktor, za nim Mogilson*). Proszę cię i zaklinam, bądź rozsądną i cierpliwą. Dopiero co rozpocząłem karierę, świetna przyszłość odkrywa się przedemną i już, już pierwsze kroki stawiam na pewnym gruncie, a ty Julio pragniesz swoją fantazją i dziecinnym kaprysem całą tę sprawę odrazu zniweczyć. Wracaj, proszę, do swoich pokoi, ja zaś postaram się wkrótce podążyć za tobą. Otóż i doktor.

Julia. Ten doktor to też podejrzana figura! (*odchodzi śpiesznie na prawo*).

S C E N A III.

Hr. Roman, Mogilson i doktor.

Doktor (*witając się z hr. Romanem*). Witam pana hrabiego! Jak zdrowie?

Hr. Roman. Dziękuję panu doktorowi. Trzymamy się nie źle (*siada przy swoim biukru*).

Doktor. Prezesa jeszcze dotąd niema?

Hr. Roman. Za chwilę powinien się zjawić. Prezes bardzo zajęty.

Doktor (*siada na lewo i zapala cygaro*). Nie dziwię się temu. Chociaż nie jestem wtajemniczony w sprawy finansowe, jednak, o ile mogę wywnioskować z wieści gazeciarskich, w obecnym czasie wre walka spekulacyjno-gieldowa na całej linii, i to nie tylko u nas. Gorączka ta w postaci niepohamowanej gry na zwyżkę czy zniżkę, jak tam nazywacie,

opanovała umysły nawet ludzi średniej klasy. Najbiedniejsi rzucają swój dorobek i swoje oszczędności w ten gotujący się kocioł namiętnych pragnień i żądz... z myślą rychłego z bogacenia się. Zapewne, iż ludzie wprawni i specjaliści w tej gałęzi zarobkowania umieją obracać kapitałami i wyciągać z tego wrzącego kotła dla siebie niepomierne zyski i korzyści. Lecz z drugiej strony inni łatwowierni i ślepo wierzący w to szczęście wygrania, jak na loteryi, a ich jest znaczna większość, ryzykują wszystko, co mają i w rezultacie tracą też wszystko, co posiadali. Pieniądz bezwarunkowo w tej grze przechodzi z jednej kieszeni do drugiej. Trudno zapewne temu złemu zapobiedz, lecz że to jest zło, które nurtuje i rujnuje nasze społeczeństwo, a przede wszystkim ludzi pracy i niezamożnych, to jest fakt nie do zaprzeczenia.

Hr. Roman. Zapatrujesz się doktorze, jak widzę, na te wszystkie manipulacje bankowe i giełdowe ze stanowiska nader pesymistycznego.

Doktor. Zapatruję się na nie tylko z punktu rzeczywistego. Proszę rzucić okiem, chociażby powierzchownie na to wszystko co się obecnie dzieje i dokonywa we Francyi, Włoszech, Niemczech i innych krajach: Krachy, bankructwa i upadłości różnego rodzaju nie schodzą z porządku dziennego; miliony ludzi tracą fortuny. Panamy wszędzie i na każdym kroku... zgroza i oburzenie przejmują umysły ludzi trzeźwo i bezstronnie patrzących na cały ten stan rzeczy. Kryzys ogólny powinien nastąpić i to wkrótce. Tłum jest głupi i nieoświecony, a jednostki—rozumniejsze ma się rozumieć—z tej ludzkiej głupoty korzystają ile mogą.

Mogilson. Szanowny pan doktor ma pewną słuszość w swem dowodzeniu. Dodam tylko, że te wszystkie gry, spekulacje, antreprzyzy finansowe i tym podobne praktykują się poniekąd od stworzenia świata i że ludzie bez nich żyć nie mogą. Jedni tracą, drudzy wygrywają i ta manipulacja obraca się wciąż w kółko. Krachy, kryzysa następują po

sobie—to prawda, lecz to już leży w kolei rzeczy i w naturze ludzkich uczuć i usposobień, bez nich nie byłoby może postępu. Czy to jednakże jest źle czy dobrze — pod względem teoretycznym i moralnym—nie wiem i tej kwestyi rozstrzygnąć nie potrafię.

Doktor. Nie zupełnie się zgodzę z pańskim poglądem i w tej materji, jako treści czysto ekonomicznej i socyalnej, dużo *pro* i *contra* dałoby się powiedzieć i wyświecić, co zresztą zadalekoby nas zaprowadziło.

S C E N A IV.

Ciż sami i Gięduch.

Gięduch (*wchodzi środkowemi drzwiami z kapeluszem na głowie*). Panu hrabiemu moje uszanowanie! (*witają się*). A i doktor tutaj? (*podaje mu rękę*). Co za miła niespodzianka?

Hr. Roman. Właśnie przed chwilą między nami i doktorem zawiązała się dysputa, tycząca się kwestyj bieżących, i doktor, jako filozof, widocznie nie zgadza się z obecnym ustrojem społecznym i nie podziela poglądów i postępków ludzi czynu, pracujących na polu ekonomicznym i finansowem.

Gięduch (*żartując*). Przekonania i doktryny doktora nie są dla nikogo tajemnicą. To jest zawzięty demokrata i socyalista!

Doktor. Przepraszam panów. Przedewszystkiem żadnym filozofem nie jestem, jak również socyalistą w sensie ogólnie oklepanym, lecz tylko człowiekiem pracy w dziedzinie mego fachu. Dzisiaj słowa: demokrata, socyalizm, socyalista znajdują się w ustach niemal każdego, począwszy od uczniaka, siedzącego na szkolnej ławie. Lecz o dokładne tłómaczenie i wyjaśnienie tych wygłaszanych słów i przezwisk trudno

się dobić, albowiem nikt ich prawie nie pojmuje, nie rozumie i nie jest w stanie należycie ich przedstawić. Mówiliśmy o spekulacjach finansowych, manipulacjach bankowych, grze na giełdzie i t. d. Nigdy, wyznając ze wstydem, nie grałem na giełdzie i nie puszczałem się na żadne inne finansowe sztuczki, ale z mej długoletniej obserwacji i studyów w zakresie nauk społecznych doszedłem do przekonania i do pewnych wniosków, i mogę twierdzić, iż wobec wzmagającej się wciąż gry i spekulacji giełdowych, jakoteż polityczno-finansowych operacji, nie tylko rujnuje się byt jednostek i całych rodzin, ale również niszczy się i wynaturza przemysł, wprowadza się handel na bezdroże, gnębi się rolnictwo i w rezultacie społeczeństwa i narody pod brzemieniem tego »złotego internasionalu«, tego kapitału międzynarodowego, jako wszechpotężnego pana na giełdach światowych, kureczą się, biednieją i giną.

Giełdach. My właśnie (*pokazuje na siebie*) stanęliśmy do walki z tym »złotym internasionalem«, na czele którego stoi Rotszyld i my go też pokonamy.

Doktor. Ostrożnie, panie prezesie, albowiem w tej walce sam możesz poledz.

Giełdach. Poledz mogę, lecz będę walczył i broni nie złożę, póki żyję—taka moja zasada.

Doktor. Należałoby tylko, sądzę, użyć do tej walki innej broni i innych środków, niż te, któremi działa i walczy strona przeciwna, ponieważ w tych warunkach szanse nie są równe.

Giełdach. Działamy otwarcie pod opieką i przewodnictwem samej Opatrzności. Chwytam się broni, którą uważamy za najodpowiedniejszą i niezbędną do życia. Tarcza przeciw tarczy, bagnet przeciw bagnetowi, działo przeciw działu... a złoto przeciw złotu—innej rady niema! Lecz wokół nas powoli zbiera się i uzbraja liczny zastęp ludzi czynu i poświęcenia, którzy wciąż powiększają naszą armię bojową;

mam tu na myśli: szlachtę, mieszczaństwo i całe chrześcijańskie społeczeństwo. Socjaliści niczego nie dokażą, a swojemi mrzonkami i wybrykami nie potrafią nam sprawy popsuć—Bóg z nami!

Doktor. Każda partya walcząca wzywa Boga do siebie i pragnie pod jego opieką prowadzić bój. Lecz zwłaszcza ja obawiam się tych socyalistów w przyszłości i kiedy ich teorye i dążności poczną się urzeczywistniać i znajdować praktyczne zastosowanie, mogą oni obu stronom walczącym wypłatać figla, a korzystając z ich klótni i walk, zwyciężyć was ostatecznie i trupem położyć tak żydów, jak i chrześcian.

Giełduch. Obawy żadnej niema i jestem pod tym względem zupełnie spokojny. Przyszłość przed nami! Ale wybacz doktorze, że przerwę na chwilę tak zajmującą rozmowę mam bowiem pilny interes do hrabiego.

Doktor. Bardzo proszę! (*bierze gazetę i czyta*).

Giełduch (*do hrabiego na osobności*). Jak się ma pani hrabina?

Hr. Roman. Zupełnie dobrze, dziękuję panu prezesowi.

Giełduch. Ale zapomniałem (*bierze pod rękę hrabiego*), Przechodząc koło magazynu jubilerskiego wpadła mi w oko wystawiona branzoletka, wysadzana brylancikami, podobała mi się (*wyjmuje z kieszeni pudełko*) i proszę cię hrabio, ofiaruj ją swojej żonie—niby od siebie.

Hr. Roman. Ależ doprawdy panie prezesie, po co to? Jesteś zbyt łaskawy i o nas troskliwy—niewiem, jak mu mam dziękować (*bierze pudełko*).

Giełduch. To bagatelka! niema o czem mówić. Chciałem właśnie panu hrabiemu poruczyć pewien dość ważny, a przytem konfidenyonalny interes. Może jednak hrabio rozporządziłeś swoim czasem, nie chcę przeto być natrętnym.

Hr. Roman. O, bynajmniej! jestem wolny i na rozkazy pana prezesa.

Giełduch. Otóż uważasz hrabio (*patrzy na zegarek*), pociąg do Skierniewic odchodzi o godzinie 5-ej. Poproszę hrabiego, aby udał się tym pociągiem do cukrowni Waliców i administratorowi fabryki wręczył odemnie list i niektóre papiery do nich dołączone (*wyjmuje z bocznej kieszeni kopertę i oddaje ją hrabiemu*). Waligórski, dyrektor cukrowni, chory od kilku tygodni, cierpi na chorobę umysłową i interesami zakładu zajmować się już nie może, dlatego właśnie z pełniącym jego obowiązki mam pewne rachunki i formalności do załatwienia. Przedstawi on panu obecny stan fabryki i wręczy mu — o co właśnie proszę — niektóre notatki i rachunki, które mi są teraz potrzebne. Pociąg odchodzi za pół godziny, ostanim zaś nocnym pociągiem możesz pan być w domu z powrotem.

Hr. Roman. Czasu zatem nie mam do stracenia i śpieszę. Żegnam pana prezesa!

Giełduch. Do widzenia. Dziękuję ci jeszcze raz hrabio i przepraszam!

Hr. Roman. Szanownemu panu doktorowi składam moje ukłony (*podaje rękę doktorowi i rozmawiając z Mogilsonem odchodzi środkowemi drzwiami*).

Giełduch. Tak doktorze, przyznaje, że jesteśmy może w przededniu wielkich wypadków. Jeszcze ten początek wieku jest w stanie wypłatać niejedną niespodziankę w postaci jakiej ogólnej rewolucyi lub też europejskiej wojny...

Doktor. (*odkładając gazetę*) Kwestya wschodnia wikła się wciąż jak mucha w pajęczynie... (*wchodzi lokaj*).

Lokaj. Jakaś pani życzy widzieć się z panem prezesem i wręczyła bilet (*oddaje bilet Giełduchowi*).

Giełduch. Co za pani? (*czyta*) Wanda Sakowicz! (*lokaj odchodzi w głąb sceny*). Ona, tutaj?! Nie życzę sobie wcale widzieć się z tą panią. Patrz doktorze (*pokazuje bilet doktorowi*).

Doktor. Wiedziałem o zamiarze pani Sakowicz przybycia do pana prezesa i ja tu również w tym celu przyszedłem.

Giełduch. Jakto? więc byliście w porozumieniu?

Doktor. Nie przeczę. Matka pana Henryka pragnie pomówić z rodzicami swojej synowej i porozumieć się, jeżeli to jest rzeczą możebną.

Giełduch. Nigdy! Ja ich znać nie chcę, córki zaś wyrzekłem się.

Doktor. Lecz pani prezesowa jej się nie wyrzekła. I pomimo postępku jej córki, pragnie, ażeby ta smutna historia, dla wszystkich bolesna i uciążliwa, a tembardziej dla matki, raz już się zakończyła, biorąc odpowiedni obrót...

Giełduch. Nic z tego! Raz postanowiłem ostatecznie i koniec—taka moja zasada. Mojej żonie wolno postępować w tym wypadku jak jej się podoba—to jej sprawa! Ja zaś nie ustąpię ani na krok, albowiem uległbym temu nędznikowi, niegodziwemu bękartowi, który tylko wykorzystał dogodnie dla siebie położenie w celu zostania moim zięciem! Doktorze, jestem przekonany, że na mojem miejscu postąpiłbyś tak samo, jak i ja...

Doktor. Postąpiłbym przedewszystkiem jako ojciec rodziny. Następnie *pro honore domus*, w celu uniknięcia dalszych zawikłań i konsekwencyj niedogodnych i niepożądanych dla ciebie panie prezesie...

Giełduch. Cóżbyś uczynił?

Doktor. Wszedłbym w pewne układy z panią Sakowicz co do rodzaju *modus vivendi*.

Giełduch. Jaki tu może być *modus vivendi*? Między mną a nimi niema nic wspólnego. Jedno albo drugie — Henryka nigdy nie uznam za mego zięcia; nigdy! powtarzam.

Doktor. Pani prezesowa tego sobie życzy i prosi. Ja również jestem tego przekonania.

Giełduch. Przyjmę tu panią Sakowicz, ponieważ koniecznie odemnie tego wymagacie: moja żona i ty, doktorze.

I moim również życzeniem, aby całą tę skandaliczną awanturę zakończyć już raz na zawsze i ażebym się jej mógł ostatecznie pozbyć (*do lokaja*). Poproś tę panią (*lokaj odchodzi*). Niech pan doktor będzie łaskaw poprosić moją żonę, aby zechciała tu przybyć i wziąć udział w naszej rozmowie.

Doktor. Idę! (*wychodzi drzwiami na lewo*).

S C E N A V.

Giełduch, Marya, Doktor i W. Sakowicz.

Giełduch. (*siada w środku przy wielkim stole. W. Sakowicz wchodzi środkowemi drzwiami na prawą stronę. Giełduch do W. Sakowicz*) Proszę siadać (*W. Sakowicz siada na prawo—z lewej strony wchodzi: Marya i doktor*). Moja żona i doktor tu obecny, jako przyjaciel naszego domu życzyli sobie, abym panią przyjął w sprawie ją obchodzącej. Uległem ich życzeniu. Muszę jednak panią uprzedzić, że co się tyczy mego postanowienia względem córki, której się wyrzekłem, ja żadnych ustępstw nie uczynię i małżeństwa tego, jako nielegalnego i nieprawego, nigdy nie uznam.

W. Sakowicz. Jako matka potępiłam postępek mego syna i cierpię nad nim niepomieranie. Wolalabym, ażeby był zaślubił najbiedniejszą dziewczynę z ludu, niż osobę z domu zamożnego i to w sposób niewłaściwy i niehonorowy. Zwiódł on dziewczynę, a ten jego czyn mnie, jako matkę, przejmując grozą i boleścią.

Giełduch. Nie rozprawiajmy o tym haniebnym postępku syna pani. Mężczyźni zresztą, mają swoje prawa i przywiłaje—a opinia ludzka na ich tego rodzaju postępkę zapatruje się zwykle pobłaźliwie, a nawet często je pochwała. Co się

zaś tyczy kobiety, a tembardziej młodej dziewczyny z takiego domu, jak mój.

W. Sakowicz. Właśnie przychodzę tu w imieniu pańskiej córki.

Giełduch. Źle pani przychodzisz. Zofię, moją córkę, przestałem już uważać za moje dziecko odkąd samowolnie porzuciła dom rodzicielski, splamiła imię, które nosi i zbeszczyła sama siebie na zawsze, uciekając z tym... To nikczemnica i upadła istota! Bodaj sprawiedliwość niebios zadała jej cios śmiertelny, bo wolałbym widzieć moją córkę na marach, niż...

Marya. Co mówisz, nieszczęsny! Przestań!...

Doktor. Panie prezesie, opamiętaj się i miej litość.

Giełduch. Niema litości i przebaczenia dla takich istot, jak ona...

W. Sakowicz. (*d. s.*) Boże! ten głos!

Marya. Jeżeli, mężu, przyjąłeś panią Sakowicz i mnie wezwalesz po to tylko, aby rzucać przekleństwa, deptać i uragać nad tą nieszczęśliwą, która popelniała błąd może nie do przebaczenia, lecz która jest i pozostanie mojem dzieckiem, ja się usuwam i nie przyjmę udziału w dalszej rozmowie. Pomimo innego losu i przyszłości, o jakich marzyłam dla Zofii, z boleścią w sercu wyznaję, że dla nas niema innego wyjścia, jak tylko uznać ją prawnie żoną pana Henryka. W tym wypadku każdy rozsądny i uczciwy człowiek zgodzi się ze mną.

Giełduch. Tylko nie ja!

W. Sakowicz. Panie prezesie, wysłuchaj tego głosu, idącego wprost z duszy. Ja w imieniu Zofii i mego syna oświadczam panu prezesowi, że oni zrzekną się wszelkiej zapomogi, jak również i posagu, przeznaczonego dla jego córki. Mój syn pracą potrafi zarobić na kawalek chleba.

Giełduch. Ja zaś w zamian, odpłacając się im za to laskawe zrzeczenie się, mam oficjalnie uznać to małżeństwo

za legalne i te biedne dzieci przycisnąć do swego łona?! Zapewne! ojciec, prócz kary materyalnej, nie może i nie powinien swemu dziecku wymierzyć takiej sprawiedliwości, na jaką zosłużyło? Przed Bogiem są niby złączeni i to wystarczy?.. Oho! zaraz! Ja ten ich ślub sądownie rozerwę i unieważnię jako nieprawy i nielegalny.

Marya. Nie uczynisz tego! Zofia—jak wiesz dobrze—znajduje się w stanie...

Giełduch. Przeklęty!—chciałaś powiedzieć. I to główny powód, służący do wytłómaczenia, a przytem do przyznania legalności i prawości podobnego związku. Jestem chrześcijaninem i za taki kruczek lub raczej w pułapkę tego rodzaju niedam się złapać. Bóg nie błogosławi dzieciom występnej pary i dzieciom z nieprawego łoża.

Doktor. To fałsz! protestuję!

W. Sakowicz. (*słabo jej się robi*) (*d. s.*) Nie myślę się—to on! (*do Giełducha*). Panie prezesie sił mi już brak, ja z tobą walczyć nie mogę. Utrzymujesz, panie, że jesteś chrześcijaninem—i ja również jestem chrześcijanką. Mój syn, na nie-szczęście, z nieprawego łoża, lecz Bóg miłosierny.

Doktor. Jak widzę, z powodu zawziętego uporu pana prezesa nie dojdziemy do żadnych pożądaných rezultatów. Pani Sakowiczowej robi się nie dobrze?.. (*podchodzi ku niej*).

W. Sakowicz. Nie! doktorze, dziękuję, nic mi nie jest.

Marya. Zawezwales Boga na pomoc i chlubisz się być dobrym chrześcijaninem, a właśnie postępujesz wbrew wszelkim przykazaniom boskim. Przebaczenie i miłosierdzie znamienują człowieka wiary i ojca...

Doktor. Dodam: człowieka rozumu i serca.

W. Sakowicz. (*wstaje*). Dzięki ci szczerze pani za te słowa pociechy. Jesteś matką, kochasz swoją córkę, jak ja mego syna, przebaczyłaś twemu dziecku—niech ci Bóg za to wynagrodzi. Odchodzę, żegnaj pana prezesa!

Giełduch. (*wstając*) Wymagacie odemnie kroku i czynu,

których, jak powiedziałem—wykonać nie mogę. Pomimo, iż pragniecie mnie ogłosić z rozumu, wiary, serca i miłosierdzia—twierdzę jednak i nie kłamię, że zawsze byłem dobrym i kochającym ojcem.—Wasze słowa i zarzuty nie mogą mnie dotknąć. Mojem uczuciem i postępkami kieruje wyższe pojęcie: ludzkie i społeczne—taka moja zasada. Wyrzekłem się córki, ponieważ — podług mnie — popełniła zbrodnię, i wbrew może mym chęciom i pragnieniom ja już ją do łona ojcowskiego nigdy nie przycisnę. Dla mnie ona żyć przestała. Moje stanowisko w świecie, i rola, jaką odgrywam w społeczeństwie za zrządzeniem samej Opatrzności, wymagają odemnie pewnych ofiar i zobowiązań, od których odstąpić nie mam prawa. W przeciwnym bowiem razie postąpiłbym jak zdrajca i sprzeniewierzyłbym się własnemu sumieniu i przekonaniom. Pani syn i jego kochanka przez ten postępek mogli zachwiać grunt pod mojami nogami, co też i w pewnej mierze uczynili, bo zhańbili mój dom, moje imię i mnie samego mogli moralnie osłabić i zniszczyć. Na szczęście jestem człowiekiem charakteru i czynu; grunt pod nogami mojami nie zachwiał się i stoję na nim jeszcze mocno i zwycięzko. Pozostało mi zatem—względem mojej byłej córki Zofii—albo wyrzec się jej, jako mego własnego dziecka, albo też wymóżyć na niej, a głównie na jej nieprawym towarzyszu, natychmiastowe rozłączenie czyli rozwód. Uczyniłem to pierwsze, ponieważ na drugie przystać nie chciałem. Zwracam się do pani z ostatnią moją propozycją: jeżeli pragniecie, ażeby córka moja mogła czasem powrócić pod dach rodzicielski, to zrobię to ustępstwo w takim razie, jeżeli Zofia bezzwłocznie opuści dom syna pani i wraz z moją żoną uda się niezwłocznie do wskazanego jej miejsca.

Marya. To niepodobna!

W. Sakowicz. Oni na to nigdy nie przystaną, lecz zakomunikuję im ostateczną wolę pana prezesa i to bez zwłoki, ponieważ dzisiaj właśnie przybyli do miasta.

Giełduch. Co? więc wrócili tutaj pomimo danego przyrzeczenia, jakiego mi udzieliłaś Maryo. Słowo zostało zerwane... a! nieszczęśliwi! pragną mej zguby! Zawezwę policję, aby tę rozpustnicę jak śmiecie z miasta wyrzuciła. Niech będzie skandal!—kiedy tego chcecie koniecznie, lecz ja się wam nie poddam i nie ustąpię!

W. Sakowicz. (*d. s.*) To on! (*do doktora*) Nie dobrze mi... czuję się źle... proszę, odprowadź mnie doktorze!

Doktor. Prezesie, miej wzgląd na kobietę, zasłabła—postępujesz okrutnie i bez rozważenia (*Marya i doktor podnoszą W. Sakowiczową*)

Giełduch. To wy ze mną postępujecie okrutnie i bez litości. Chcecie mnie zamęczyć i zgubić. (*Marya i doktor, podtrzymując W. Sakowiczową, odchodzą na lewo.*)

S C E N A VI.

Giełduch sam.

Giełduch. Pozbyłem się ich nareszcie! (*chodzi po scenie*). Lecz co tu począć? Powinienem działać energicznie i stanowczo, bo to wszystko razem wzięwszy może zachwiać moją powagę i moją potęgę. Udam się do władzy,—mam wpływy... obowiam się tylko skandalu i większego rogłosu. Ja ich zgniotę i upokorzę, swego zaś dopnę! Gdzie Mogilson?

S C E N A VII.

Giełduch i Helena.

Helena. (*wystrojona, wchodzi środkowymi drzwiami*) Papo! dzień dobry. Jesteś sam jeden? (*obejmuje go i całuje*).

Giełduch. A to ty? POCO tu przyszłaś? Tak! zapewne po pieniądze? innego przecież interesu do mnie mieć nie możesz.

Helena. Papo, co tobie?—jak widzę, znajdujesz się w fatalnym humorze.

Giełduch. Rzeczywiście! odgadłaś. Mam się czem weselić i skakać z radości. Jedna córka uciekła z domu z kochankiem, zhańbiła moje nazwisko i całą rodzinę, a druga—i to pierworodna swoim postępowaniem jako żona i matka nie umie nawet zachować pozorów należytych, afiszuje się z swymi amantami publicznie i wciąż ich zmienia jak rękawiczki. Wstyd mi za ciebie moja pani księżno!

Helena. Papo! to są wszystko plotki i oszczerstwa. Już książę musiał nagadać, bo właśnie kilka dni temu zgrał się do nitki w klubie strzeleckim. Mam kochanka, nie przeczę, lecz nim wcale się nie afiszuje, bo cóż mam począć, skoro mój mąż nie jest moim mężem—tylko dla formy. On utrzymuje baletnicę i to mu wolno. (*wyjmuje papierośnicę i zapala papierosa*).

Giełduch. Tak! jemu wolno, jako mężczyźnie i księciu w dodatku. Ożenił się z tobą dla pieniędzy—wiesz o tem dobrze—i dał ci w zamian swój tytuł, swe nazwisko i stanowisko w wielkim świecie. Powinnaś mu być wierną i wdzięczną, a nie chlubić się swym kochankiem i nim się kompromitować, pokazując go jak sztyl na wystawie wszędzie i na każdym miejscu—całemu światu.

Helena. W tem wszystkim przesada—powtarzam—kochany mój papo. Książę mnie nie kocha i mną się nie zajmuje, być mu przeto wierną byłoby tylko śmiesznością z mojej strony. Zresztą, w naszym wyższem towarzystwie jest to rzeczą przyjętą i nawet dobrze widzianą, kiedy młoda mężatka flirtuje i ma sobie kochanka, chyba, że jest zakochaną w swoim mężu, a on jej nie zaniedbuje, ale to są wyjątkowe i nader rzadkie wypadki. Książę zaś, mój mąż, czepia się mnie tylko i łapie na głupstwach, gdy mu to jest potrzebnem tylko dla wyłudzenia z twojej kieszeni, papo, większych sum pieniędzy—i nic więcej!

Giełduch. Wiem o tem dobrze i nie potrzebujesz mi tego tłumaczyć. Lecz ty, Heleno, powinnaś właśnie mieć to na uwadze, zawsze mieć się na baczności i nie dawać powodu. Alboż ja ci zabraniam kochanka? Miej go sobie, ale przede-wszystkiem forma należyta i pozory światowe powinny być zachowane—taka moja zasada! Ty zaś postępujesz jak córka jakiegoś dorobkiewicza, bez światowego wychowania i o drobiny sprytu. Książę wielki niepoń i utracysz—to prawda, lecz to arystokrata, którego stosunki i względy są mi potrzebne. Powinnaś o tem wiedzieć i dlatego ja cię ostrzegam. Teraz dosyć z tem—mam inne sprawy na głowie.

Helena. (*z uśmiechem do Giełducha*). Nie gniewaj się, papo, wszystko dobrze pójdzie i nie będziesz miał powodu rumienić się za swoją Helcię, aby tylko były pieniądze. Pieniądz to grunt!—sam powiadasz—taka twoja zasada.

Giełduch. Pieniądze, pieniądze! I one nie zawsze pomagają. Najlepszym dowodem twoja pani siostra—ta paskudnica! Tego nędznika jej kochanka przekupić nie mogłem.

Helena. Ba! rzecz naturalna, czyha on bowiem na posąg Zofii.

Giełduch. I bezczelni, nikczemni! umyślnie po to teraz przybyli do miasta.

Helena. JAKO? oni znowu tutaj?

Giełduch. Właśnie przed chwilą zjawiała się u mnie z propozycją niby w ich imieniu matka tego bękarta, Sakowieczowa. Twoja pani matka i ten doktor demokrata pragnęli również, abym się zgodził, przebaczył im i uznał to małżeństwo, lecz nie z tego.

Helena. Co za rolę gra tu doktor i po co on się wtrąca w nie swoje sprawy. Nie lubię go... Ale odprawiles ich, papo?

Giełduch. Postawiłem moje ultimatum, a jeżeli nie wypełnią mego rozkazu, użyję siły przy pomocy wyższej władzy—innego wyjścia niema.

Helena. Twoje ultimatum nie wyrze żadnego pożądanego skutku, bo już zapóźno! Na nieszczęście obecnie mama trzyma ich stronę. Powinieneś, papo, zerwać z nimi ostatecznie i pozbyć się Zofii...

Giełduch (*siada i myśli*)... Zaraz gazety roztrąbią o tej awanturze; plotki i różne wieści będą kursować pomieście. Wszyscy prawie już wiedzą o ucieczce Zofii i jej tajemnych zaślubinach, chociaż ten wypadek ukrywaliśmy dotąd, o ile mogliśmy, lecz dalej ukrywać niepodobna.

Helena (*d. s.*). Należy nie dopuścić (*do Giełducha*). Radzę ci, papo, postępować ostrożnie i dyplomatycznie. Przemocą i gwałtem nie dojdiesz do celu, a sprawę pogorszysz. Użyj tu innych sprężyn, i sposobów. Masz przecież rozległe i wpływowe stosunki, nie żałuj na to pieniędzy, a uda ci się tego Sakowicza wraz z Zofią wyprawić gdzieś daleko, do pewnego miejsca, skąd już nie potrafią się wymknąć i nie będą ci już mogli zakłócić spokoju. Taka moja rada!

Giełduch (*zamyślony*). Może tak i postąpię?!

Helena (*d. s.*). Cały majątek na mnie spadnie. (*Oboje chodzą po pokoju*). Posłuchaj mnie, papo, jest to jedyny praktyczny sposób. Pazostanę przy tobie ja, twoja 'jedyna, oddana, kochająca córeczka (*całuje go*). Ale *à propos*, co się dzieje z hrabiostwem Lipińskimi? Dawno ich nie widziałam; muszę Julię odwiedzić.

Giełduch. Nie teraz—odłóż swą wizytę... hrabia wyjechał

Helena. Zatem hrabina sama... rozumiem. Więc tym hrabią obracasz, papo, jak piłką?..

Giełduch. To dudek! posyłam go na prawo i na lewo, poruczając mu tylko błahe sprawy, lecz w główniejsze wcale go nie wtajemniczam. Jemu aby tylko pieniądze.

Helena. Zapewne, za dobry kurs sprzeda on swoją duszę i w dodatku swoją piękną żoneczkę.

Giełduch. Co się tyczy żoneczki, to jeszcze kwestya?

Hrabina to krnąbrna i uparta kobietka—lecz ja ją oswoje i upokorzę.

Helena. Jaktó? więc jeszcze nic..?

Giełduch. Jeszcze nic, ale to wkrótce nastąpi. Zresztą co to ciebie obchodzić może?

Helena. Obchodzi mnie wszystko, co tylko papusi przyjemność i satysfakcyę sprawić może... Bo wiesz, papo, że już w towarzystwie przebąkują i na ucho szepczą, że ona... twoją kochanką...

Giełduch (*z zadowoleniem*). Doprawdy?.. przebąkują!... to dobrze! tego mi potrzebali..

Helena. *Ça Vous pose dans le grand monde.* Dzielny człowiek—mówią—do wszystkiego! Masz dobry gust papusiu!

Giełduch. A tak! zapewne!—to moja zasada (*spogląda na zegarek*). Lecz moja pani księżno wybac, czas leci, a ja się z tobą zagadałem.

Helena. Papo, chciałam ci powiedzieć: Wielkanoc się już zbliża.

Giełduch. A mnie co może obchodzić Wielkanoc?

Helena. Kwesta! ta nieszczęśliwa kwesta!.. Przecież muszę..

Giełduch. To prawda, kwesta! i ona mnie kosztuje... Niech ją licho porwie, należą przecież do tych wszystkich dobroczynności... Jak widzę, już się wyszastałaś z pieniędzy, a przecież niedawno otrzymałaś odemnie.

Helena. Tualety, papo, tualety, różne wydatki, a teraz znowu ta kwesta.

Giełduch. I końca temu nigdy nie będzie. Drogo mnie kosztuje to twoje księstwo! O pieniądze teraz ciężko—powinnaś o tem wiedzieć moja pani. Wszystkie moje kapitały są teraz w ruchu—zaangażowane.

Helena (*z uśmiechem*). Zaangażowane i w ruchu też około osoby pięknej hrabiny, twojej kochanki, papusiu! I ja przecież, twoja jedynaczka, kochająca i oddana Helcia, niby twoja druga kochanka!

Giełdych. Jesteś bezczelną, moja jedynaczko,—no, al jeszcze nie złą istotą. Tylko pamiętaj! wstydu mi nie rób i z księciem bądź ostrożną, miej się na baczności, bo on mi wyciągnie ostatni grosz z kieszeni. Wiele ci potrzeba?

Helena. Tak, jeśli możesz papusio, z jakich 15.000.

Giełdych (*idzie do stołu, siada i pisze*) Bagatela! (*wchodzi Mogilson*). Masz, z tem udasz się do kasy, lecz oszczędzaje bo oprócz gaży, którą ci wypłacam, więcej nie otrzymasz.

Helena. (*ściskając ojca*) Dziękuję ci serdecznie, papusio Do widzenia!

Giełdych. Do widzenia! wynoś się!

Helena. *Bonne chance*, papusiu. Życzę ci szczęścia i powodzenia. Ale nie zwlekaj tylko z tymi Sakowiczami—i działaj, jak ci mówiłam. Au revoir, papa! (*wychodzi środkowymi drzwiami. Mogilson jej się kłania*).

S C E N A VII.

Giełdych i Mogilson.

Giełdych (*d. s.*). Teraz do dzieła! (*spostrzegając Mogilsona*). A, Mogilson!

Mogilson. Czy pan prezes nie otrzymał żadnych z Wiednia wiadomości?

Giełdych. Dotąd jeszcze nie. Oczekuję ich każdej chwili. Wczoraj telegrafowałem do naszego agenta w Wiedniu z rozkazem, aby natychmiast w «Banku powszechnym» zażądał wypłaty weksłów naszego domu. Jestem przekonany, że to wszystko są strachy na Lachy— i że te wieści o «Powszechnym» nie mają żadnej podstawy.

Mogilson. Dalby Bóg! Oto ostatni numer «Gazety», w którym umieściłem artykuł o darach pana prezesa.

Giełduch. Dawaj pan (*bierze gazetę i czyta*): «Jak się dowiadujemy z pewnego źródła, nasz wielki finansista i filantrop, Józef Giełduch, prezes banku «Wzajemnej Pomocy» poświęca znaczny kapitał na popularne wydawnictwa naszych narodowych mistrzów pióra i pędzla. Poeci ubiegłej doby, Mickiewicz, Słowacki i inni, jak również nowocześni: Asnyk, Orzeszkowa i inni, oraz malarze: Matejko, Chełmoński, Siemiradzki, przedstawią się naszej publiczności w szatach nowych i ozdobnych, a przytem dostępnych dla biedniejszej klasy naszego społeczeństwa. Bóg zapłać! Nareszcie kraj nasz doczekał się człowieka czynu i poświęcenia, który swą pracą i hojnemi darami podnosi i wzbogaca naszych pisarzy, naszą literaturę i sztukę. To się nazywa: łączyć wspólnie interes i piękno, pracę i cnotę—dla dobra i pożytku całego społeczeństwa. Niech inni idą za przykładem tego *ecce homo*—człowieka czynu i poświęcenia, bo dotąd dotkliwie dawał się nam odczuwać brak takich ludzi»... i t. d. Dobrze! ale przytem nie należy zapomnieć o ofiarowaniu pewnej sumy na kahał żydowski. Czynię to corocznie, lecz tego nie wypada ogłaszać w gazetach—rozumiesz pan dla czego? Trzeba tylko wciąż tym semitom i antysemitom gęby zamalowywać—taka moja polityka i taka moja zasada! (*wstaje*). Teraz, proszę cię Mogilson, udaj się do pani hrabiny i oświadczyć jej w moim imieniu, że pragnę się z nią widzieć, mam do niej interes.

Mogilson. Słucham pana prezesa (*wychodzi na prawo*).

Giełduch. Być albo nie być! Z tą hrabiną muszę wreście interes załatwić! (*idzie na lewo, otwiera stojącą przy ścianie szafę, wyjmując butelkę z winem, nalewa pełną szklankę i pije*). To wzmacnia! (*zamyka szafę*).

✧ **Mogilson** (*wracając od hrabiny*). Hrabina oświadczyła, że pana prezesa u siebie przyjąć nie może ponieważ jej męża nie ma w domu, lecz za chwilę sama tu przybędzie.

Giełduch. Nie odchodź stąd proszę cię, panie Mogilson,

i pilnuj, aby tu nikt nie wszedł i mnie nie przeszkodził. Służbę oddal.

Mogilson. Będę pilnował (*odchodzi środkowemi drzwiami Giełduch zamyka na klucz drzwi na lewo*).

S C E N A VIII.

Giełduch i Hrabina Julia.

Giełduch (*do Julii wchodzącej z prawej strony*). Pani hrabino, *mille pardon* — nie przeszkodziłem?

Julia. Pan prezes życzył sobie ze mną się widzieć?

Giełduch. Tak jest! proszę siadać (*podsuwa jej fotel*). Nie raczyłaś mnie hrabino przyjąć w swoich apartamentach.

Hrabina. Mego męża niema w domu. Myślałam, że on się tu znajduje u pana prezesa.

Giełduch. Mąż pani wyszedł przed chwilą, lecz zapewne wkrótce nadejdzie (*bierze krzesło i siada przy niej*). Interesa, zajęcia... a cóż?.. robimy pieniądze! i hrabia energicznie, ochoczo wziął się do dzieła, jestem przekonany, że wkrótce stanie na nogach. Właśnie z powodu jego nieobecności pragnąłem w czasie osamotnienia hrabiny rozerwać ją nieco i przepędzić kilka chwil w jej miłym towarzystwie.

Hrabina Julia. Za te laskawe względy, tyżące się mojej osoby, dziękuję panu prezesowi. Rzeczywiście, jestem wciąż osamotnioną i opuszczoną przez mego męża od chwili jego wstąpienia do wspólki, a raczej do obowiązku.

Giełduch. Do wspólki! — dobrze powiedziałaś hrabino, pracujemy razem i czasem zyski stosowne między siebie podzielimy. Lecz mam nadzieję, że i hrabina Julia w tem naszym wspólnem dziele nie odmówi swej pomocy i współudziału?

Julia. O interesach niemam żadnego pojęcia i nie pojmuję, jaką pomoc lub udział mogłabym przynieść.

Giełduch. Młoda i piękna kobieta, tak jak hrabina, może zawsze przynieść pewne korzyści i być użyteczną, nie idzie tu bowiem o same interesa bankowe lub inne, lecz też o współdział moralny w przedsięwzięciu.

Julia (*d. s.*). Do czego on zmierza? (*do Giełducha*). Znowu panie prezesie prawisz mi komplementa. Sądzę, że moja młodość lub piękność—jak się wyraziłeś—w sprawach finansowych nie grają chyba żadnej roli? Zostawić je przeto należy na uboczu, bo one mogą tylko obchodzić mego męża.

Giełduch. I mnie... choć w części, kochana hrabino (*przybliżyła się do niej*). Pozwolisz pani i mnie trochę, jako oddanemu jej słudze, podziwiać ją, uwielbiać, bo muszę wyznać szczerze i otwarcie, że jesteś hrabino czarującą!

Julia (*z oburzeniem*). Panie prezesie, zapominasz się! Proszę mi oświadczyć, w jakim interesie pragnąłeś pan widzieć się ze mną?

Giełduch. W jakim interesie? A tak!... Lecz po cóż znowu ta chmurka na jej pięknem czole? Z tem jej wcale nie do twarzy. Jestem przecież, hrabino, waszym przyjacielem i pagnę tylko...

Julia. Słyszałam już nieraz te słowa z ust prezesa i pragnęłabym uwierzyć w tę jego dla nas przyjaźń, ale to zalecanie się jego podczas nieobecności mego męża — wyznaję—obawą mnie przejmuje.

Giełduch. Czego miałabyś się obawiać, moja droga przyjaciółko? Zależy tylko od ciebie...

Julia. Co takiego?

Giełduch. Proszę, daj mi swoją ładną rączkę (*bierze jej rękę*) tak! dla zgody! i wyznaj mi, proszę, szczerze: co-byś sobie, moja pani, życzyła? cobyś pragnęła posiadać? powiedz otwarcie.

Julia. Ależ, niczego nie pragnę i nic mi nie brakuje (*odsuwa swoją rękę—Giełduch znów ją chwytą*).

Giełduch. Chciej mnie zrozumieć, Julio... hrabino. Patrz! moje serce bije, miej litość nademną i jednym słowem, skinieniem, błagam cię, uszczęśliwisz człowieka, który pada u twoich nóg! (*klęka przed nią*).

Julia. Jesteś w gorączce panie prezesie. Powstań proszę.

Giełduch. Nie powstanę, póki się nie zgodzisz, Julio! Powiedz, zmiłuj się... Wszystko składałam przed tobą u twoich stóp, pani moich marzeń: pałace, konie, stroje... zabawy i co tylko zapragniesz lub rozkażesz — wszystko, jakby różdżką czarodziejską, na twe skinienie z ziemi powstanie lub z nieba spadnie. Nie! dłużej już przed tobą, moja królowo, udawać i skrywać nie jestem w stanie. Ja cię, Julio, kocham, ubóstwiam!

Julia. Puść mnie pan! (*wyrywa mu się, lecz on ją chwytą i ciągnie do siebie*).

Giełduch. Nie! nie wyrwiesz się już z moich objęć, aniele drogi. Rzeknij wiele pragniesz, wiele żądasz? pieniądze na twoje zawołanie! i twój mąż zarobi u mnie wiele ci się spodoba. Miłość ku tobie opanowała mnie, pragnę cię posiadać i do mego łona przycisnąć. Ja cię kocham, Julio i czegobyś nie uczyniła, ja ci moje wyznanie powtarzać będę z taką siłą i namiętnością, że wreszcie ulegniesz moim życzeniom i pragnieniom. Chcę, aby to moje uczucie mogło wścisnąć się w twoją istotę i zlać się z twoją duszą i aby wreszcie jak balsam spadając kropla po kropelce, zbudziło w twym sercu tę słodycz i miłość — aż adplacając się wzajemnością, padniesz sama w moje objęcia i wykrzykniesz, Julio, do mnie: »I ja cię kocham!«

Julia. Ja cię nienawidzę nikczemniku! Boże mój! gdzie Roman? Romanie! (*wyrywa się z objęć Giełducha*).

Giełduch. Niema twego Romana, bądź spokojną—on daleko. Ja przy tobie, Julio, i pragnę cię...

Julia. Więc to zasadzka!... nikogo!... Boże, jestem zgubiona!

Giełduch. Ocaloną, powiedz. Twój mąż bogaty, a ty, Julio, będziesz się w złocie kąpała, jak królowna z tysiąca jednej nocy (*przyciska ją i całuje*).

Julia (*wyrywając się*). Ach! przeczynałam takie rozwiązanie. Ostrzegalam Romana przed tem haniebnem podejściem. Skorzystałeś, panie, z naszej nędzy i nieświadomości, Słodkimi obietnicami wciągnąłeś mego męża w tę otchłań swych niecnych spekulacji i geszeftów w celu pogwałcenia mojej czci i zhańbienia naszego rodu. Kocham mego męża i pozostanę mu wierną do śmierci. Twoje złoto mnie nie przekupi!

Giełduch. Zobaczymy!

Julia. Od tej chwili mąż mój zrywa z panem wszelkie stosunki i ani godziny dłużej nie pozostaniemy więcej w tym domu.

Giełduch (*chce ją chwycić*). Błagam cię, Julio, bądź rozsądna... po co te sceny? poddaj się!

Julia. Ani kroku! — zabraniam panu!

Giełduch. Pragniesz więc koniecznie, uparta istoto! abym użył przemocy? (*chwyta ją*).

Julia (*wyrywając się*). Jestem kobietą bezsilną, lecz walczyć będę do ostatka. Ja ci się nie poddam, nędzniku!

Giełduch. Będiesz moja, ja tak chcę i tak być musi, oporu nie znoszę—to moja zasada.

Julia. Ty zwierzę, podły żydzie! (*broni się*).

Giełduch. Twoje obelgi i kaprysy mnie niewstrzymają, a przeciwnie, rozpalają moje żądze. Bądź, powtarzam, uległą i posłuszną. Zgódź się, radzę, bez oporu i grymasów. Rozkazuję! (*obejmuje ją gwałtem*).

Julia (*cała drżąca zgina się przed nim na kolana*). Panie, litości!... ja nie mogę... siły tracę... Zaczekaj, panie!... Jutro dam ci odpowiedź... jutro... proszę, błagam!

Giełduch. A! nareszcie upokorzyłaś się uparta hrabino! Przed królami złota upadają i korzą się całe narody, a ty-

słabe stworzenie, chciałabyś walczyć?... ha!... ha!... ha!... (*podnosi ją*). Poddaj się i usłuchaj mnie, moja śliczna kobietko, honorowi twemu, cnocie i wierności daj za wygraną, bo one ci żadnej korzyści, ani fortuny przynieść nie są w stanie. (*Przyciska ją i całuje*). Będę twoim, Julio, oddanym kochankiem i niewolnikiem twych pragnień i życzeń.

Julia (*wyrywa się z jego objęć i biegnie na prawo do drzwi—Giełduch za nią*). Nie śmiesz, zbroju, przestąpić progu tych drzwi (*stoi przed drzwiami i zakrywa je rękami*). Precz stąd! uchodź!

Giełduch. Zapominasz, mój skarbie drogi, że znajdujesz się u mnie, tu w domu moim i że wszelkie progi i przeszkody dla mnie nie istnieją. Przestań nareszcie dziwaczyć—puszczaj i chodź!

Julia. Nie wejdiesz, zbrodniarzu! Ja cię nie puszczę, i póki mi siły starczą, będę się bronić (*pada przed drzwiami*). (*Mogilson ukazuje się w środku drzwiach*).

Giełduch. Ha!... ha!... ha!... Istna komedia, doprawdy! Taka jeszcze mi się więcej podobaś, zachwycająca Julio. Kocham i pożadam cię! (*chwytą ją*). Dość tego! Niemam czasu do stracenia (*wynosi ją na rękach za drzwi na prawo*).

Julia. Ratunku!

S C E N A IX.

Mogilson.

Mogilson (*podchodzi cicho na palcach i podśluchuje pod drzwiami. Głos Julii za sceną: Ratunku! Na pomoc! na pomoc! Mogilson po chwili, zacierając ręce*). Consumatum est! O, ten stary szatan ma jeszcze w sobie dużo ognia i temperamentu; istny Don Juan! Ba! nie przeczę, ta hrabina

warta grzechu! Prezes ma słuszość: co są warte pieniądze kiedy się z nich nie korzysta? Ale ja w te wszystkie sprawy familijne i sercowe prezesa nosa swego nie wtrącam. Co mnie to wszystko może obchodzić? Każdy dla siebie a Bóg dla wszystkich — taka moja zasada — jak mówi Giełduch. Trzymam też z nim dopóki mu będzie sprzyjać szczęście, i mam nadzieję, iż wkrótce z prezesem dojdziemy do świetnych rezultatów. Lecz baczność, Mogilson, miej się zawsze na ostrożności, bo gdyby gwiazda Giełducha miała się przypadkiem zaćmić lub zgasnąć, moja powinna się wciąż jasno świecić nademną. Dla tego też na wszelki wypadek — i co jest tajemnicą dla prezesa — z Figielmanem znajduję się w dobrych, przyjacielskich stosunkach. My swoi — a żydzi zawsze górą!

Lokaj. Telegram.

Mogilson. Dawaj! *(lokaj odchodzi. Mogilson odpieczętowuje i czyta)* »Wiedeń. «Bank powszechny«—krach!« Masz tobie! pociecha... kiepska sprawa! *(siada i spogląda znacząco w drzwi na prawo)*.

S C E N A X.

Giełduch i Mogilson.

Giełduch *(zjawia się we drzwiach z prawej strony — w nieładzie, z kamizelką rozpiętą)*. Mogilson, co się stało?!

Mogilson *(podając mu depeszę)*. Proszę!

Giełduch *(czyta i pada na fotel)*. A! do stu djabłów! tego się nie spodziewałem...

Mogilson *(d. s.)*. Gwiazda się zaćmiła!

Zasłona spada.

A K T III.

(Salon bawialny hr. Julii—ładnie umeblowany. Po lewej stronie biurko do pisania z należytymi przyborami; po prawej kanapa i kilka foteli. Jedne drzwi w głębi sceny, po lewej stronie dwoje drzwi, po prawej jedno).

S C E N A I.

Hr. Roman i Julia.

(Hr. Julia siedzi po prawej stronie zadumana, przy niej na stole leży otwarta książka. Po chwili wchodzi hr. Roman z lewej strony drugimi drzwiami i zamyślony przechadza się po scenie).

Hr. Roman. *(d. s.)* Żle! interesa się wikłają *(bierze do ręki kapelusz).*

Julia. *(spostrzegając Romana)* A, to ty, Romanie! Czy znowu wychodzisz?

Hr. Roman. Tak! wychodzę, różne sprawy, interesa...

Julia *(wstaje).* Sprawy, interesa... końca temu niema. Całemi dniami wieczorami bawisz po za domem.

Hr. oman. Trudna rada. To nie odnennie zależy. Znajduję się na służbie i przytem...

Julia (*podchodzi do Romana i bierze go za rękę*). Słuchaj Romanie, rzuć wszystko i uciekajmy stąd dopóki czas.

Hr. Roman. Jesteś chyba nieprzytomna, Julio.

Julia. Owszem, jestem przytomną i przy zdrowych jeszcze zmysłach, ale ciebie, Romanie, i was tam wszystkich opnowała gorączka złota, najniebezpieczniejsza ze wszystkich i która ostatecznie doprowadzi nas do zguby. Przewiduję nieszczęście!

Hr. Roman. Uspokój się, proszę cię, i nie zaprzataj sobie głowy na próżno. Nie słuchaj lepiej różnych plotek i bredni. W naszych zajęciach i przedsięwzięciach bardzo często wikłają się interesa i trudno wymagać, aby wciąż wszystko szło jak po maśle—podług życzenia. Dzisiaj trochę gorzej, jutro lepiej i pomimo niepowodzeń i pewnych strat materyalnych, poniesionych przez dom nasz ostatniemi czasy, Gielduch mocno stoi i jego stanowisko nie może być zachwianem. Zawsze to potęga!

Julia. Największe potęgi padają i giną.

Hr. Roman. Tak, różnie bywa, nie przeczę, lecz o Gielducha niema obawy. Muszę spieszyć i proszę cię, Julio, bądź dobrej myśli, nie trwóż się daremnie (*obejmuje ją i całuje w czoło*).

S C E N A II.

C i z i H e l e n a.

Helena (*wystrojona w kapeluszu, ukazuje się w środkowych drzwiach*). Czy nie przeszkadzam?

Hr. Roman. A! księżna—prosimy!

Julia (*d .s.*) Znowu ta żmija!

Helena. Proszę się mną nie krępować. Wychodzisz hrabio?

Hr. Roman. Tak jest! bardzo mi przykro, lecz jestem zmuszony. Zostawiam księżnę z moją żoną. Do milego widzenia! (*podaje jej rękę i wychodzi*).

Helena. Do widzenia, *à bien tôt*.

S C E N A III.

Hr. Julia i ks. Helena.

Helena. Kochana hrabino, *comment va votre santé?*

Julia. Dziękuję, proszę, siadaj księżno.

Helena (*siada*) Ach! gdybyś wiedziała *ma chère comtesse*, w jakich się znajduję tarapatach—ledwie żyję.

Julia. Cóż się stało?

Helena. Wyobraź sobie, mój mąż, książę...

Julia. Zachorował?

Helena Ale gdzież tam! *il se porte comme le pont neuf*. Zgrał się znowu w karty, rozgniewał się na mnie, zwymyślał, a ja mu palnelam *verba veritatis*, porzuciłam dom et me voilà! Teraz sama niewiem co począć?

Julia (*d. s.*). Kłamie! (*głośno*) Jakto? tak, bez żadnej przyczyny poróżniliście się?

Helena. Rozumie się, że bez przyczyny. Cóż ja zawiniłam? Wyobraża sobie, że mam kochanka i że on nas gdzieś widział razem... ha!... ha!... ha!... to mi się podoba! Ale to tylko pretekst *ma chère comtesse*, to wymysł z jego strony; potrzebuje znowu grubej sumy i dlatego wymyśla. Chociażby i tak było, bo któraż z nas niema kochanka, on wie dobrze...

Julia. Księżno! zapominasz się.

Helena (*d. s.*) Niewiniątko! (*jawnie*) Ależ, *ma chère*, nie bierz, proszę, tych słów do siebie, ja mówię ogólnie. Wiadomo przecież, że wy oboje kochacie się, jak dwa go-

łąbki. Ale nie o to chodzi. Mój papa jest obcenię zaangażowany, odmawia gotówki, a książę czekać nie może—potrzebuje na gwałt pieniędzy. Powiadam, zgrał się do korszuli,—*pardonnez moi l'expression*. Lecz *à propos*, zapewne jesteś *au courant*, hrabino, — czy rzeczywiście, jak krążą wieści po mieście, interesa domu mego papy miały się zachwiać? Bo od nikogo prawdy dowiedzieć się nie mogę i znajduję się w wielkiej obawie.

Julia. Tyle wiem, co i księżna, od nikogo również rzeczywistego stanu rzeczy dowiedzieć się nie mogę.

Helena A od hrabiego?

Julia. Mój mąż uspakaja mnie tylko i zaręcza, że oprócz pewnych strat i niepowodzeń wszystko w domu ojca pani idzie pomyślnie. Zresztą mężowie często ukrywają prawdę przed żonami i nie lubią im się zwierzać.

Helena. To prawda, lecz zapewne w tem wszystkim przesada i tylko nieprzyjaciele mego ojca rozpuszczają różne fałszywe wieści w celu szkodenia nam i nic więcej. Hrabino, ratuj mnie, *sauvez moi de grâce*.

Julia. Ja? przed czem?

Helena. Przed moim mężem... przed... pieniądze są mi potrzebne.

Julia. Wiesz przecież księżno, gdzie masz się udać w takiej potrzebie, lecz cóż ja?...

Helena. Właśnie, *c'est la mer à boire*. Papa mój z powodu tej awantury z moim mężem gotów mi odmówić i jeżeli rzeczywiście nie posiada gotówki...

Julia. Trudno temu zaradzić.

Helena Udałoby się, *si... si...* gdybyś hrabino zechciała.

Julie. Nie pojmuję cię księżno, cóż ja uczynić mogę?

Helena. Potrzeba mi... choć kilka tysięcy rubli.

Julia. Ja pieniędzy nie nam i pomimo najszczerzej chęci...

Helena. A hrabia?

Julia. Mój mąż pracuje i zarabia, lecz kapitałów nie posiada.

Helena. Ale... *voilà*—z twoją pomocą hrabino dałoby się ten interes z pewnością załatwić.

Julia. Jakim sposobem?

Helena. Gdybyś, hrabino, u mego ojca zażądała...

Julia. Zażądała?!... ja?...

Helena. Tak! poprosiła, chciałam powiedzieć, niby dla siebie, on ci z pewnością nie odmówi.

Julia. Dla siebie prosić?... Ani prosić, ani żądać od ojca pani nie mogę i nie mam prawa. Mąż mój służy u niego, ja zaś żadnych pożyczek nie zaciągam u nikogo i w sprawy pieniężne się nie wdaję, tem bardziej...

Helena. Ależ, *chère comtesse*, papa mój ciebie uwielbia i dla ciebie hrabino gotów wszystko uczynić... możesz więc...

Julia. (*wstaje*) Księżno, proszę miarkuj swe słowa, ojciec pani może mnie uwielbiać lub nie—tego nie wiem, lecz ja twemu żądaniu, księżno, zadosyć uczynić nie mogę. Dajmy temu pokój.

Helena (*d. s.*) Bezczelna! (*jawnie*). Odmawiasz mi, hrabino, to nie pięknie z twojej strony. Przypuszczałam...

Julia (*siada*). Twoje, księżno, przypuszczenia były mylne!

Helena (*przybliża się do Julii*) *Ecoutez chère comtesse*—nie gniewaj się i proszę, nie obrażaj się. Bądźmy szczerze między sobą i otwarte. Po co mamy grać komedję?

Julia. Jaką komedję?

Helena. Ja mam, wyznaję, kochanka i z tem się nie ukrywam. Mój mąż nas przyłapał oboje—i w tem cała moja bieda. Byłam nieostrożną i głupią, lecz wszystko jeszcze dałoby się naprawić, gdyby... Otóż udaję się do ciebie, hrabino, o protekcyę i ratunek, abym mogła wybrnąć z tej przykrej i niedogodnej dla mnie sytuacji *et vous comtesse* odtrącasz moją prośbę ze swej wysokości wówczas, gdy

możesz, ja wiem o tem, i powinnaś poniekąd podać mi rękę, by mnie wyciągnąć z trudnego położenia.

Julia. Nie mogę tego uczynić, czego wymagasz odemnie—powtarzam ci księżno — i przytem nie czuję się całkiem w obowiązku. O żadnej zatem powinności z mojej strony—mowy być nie może.

Helena (*wstaje i mówi ironicznie*). Ojciec mój wyciągnął was oboje z biedy i nędzy, o tem nie powinnaś zapominać *chère comtesse*. Odplaciłaś mu wzajemnością—to prawda, lecz i dla mej osoby możesz uczynić tę bagatelkę, o którą cię proszę, hrabino.

Julia (*wstaje i ostro do Heleny*). Odplaciłam mu wzajemnością!... Jaka? mów pani!

Helena. Ależ, *comtesse*, gra słów tu zbytuczna. My się przecież rozumiemy—i po co tu nieszczerłość? Wiesz dobrze i przedemną ukrywać nie powinnaś, że mój papa nie jest w stanie, hrabino, cokolwiek ci odmówić i czegobyś tylko od niego potrzebowała lub zażądała, złoży natychmiast u twoich nóg—dla ciebie wszystko uczynić gotów. Przyznaj wreszcie, hrabino!

Julia (*wychodzi na środek sceny i ręką wskazuje drzwi na lewo*). Wyjdź pani stąd natychmiast—oto drzwi!

Helena. Za pozwoleniem, *comtesse*—nie tak skoro! Znajduję się przedewszystkiem u siebie, w domu mego ojca, a tylko przypadkiem w komnacie jęgo kochanki!

Julia (*do niej z złością*). Ty! podła! precz stąd!

Helena. Cały świat wie o tem, prócz chyba jednego męża! Lecz poczekaj—ty hypokrytko, świętoszku w spódnicy, ja się zemszczę! (*odchodzi śpiesznie na lewo w pierwsze drzwi*).

S C E N A VI.

Julia, *sama*.

Julia. Cały świat wie o tem!... Boże! jak nisko upadłam! Lecz koniec tej mojej męczarni wkrótce musi nastąpić—dzisiaj jeszcze.

S C E N A V.

Hr. Julia i ks. Ratocki.

Lokaj. (*wchodzi z drugich drzwi na lewo i anonsuje*):
Książę Jan Ratocki!

Julia (*d. s.*). Nie pragnę się z nikim widzieć, ale od księcia może dowiem się prawdy. (*jawnie*) Niech wejdzie, prosź! (*Lokaj odchodzi, po chwili wchodzi książę*).

Ks. Ratocki (*całując ją w rękę*). *Pardon Comtesse*, składam jej moje najniższe ukłony i pozdrowienie.

Julia. *Bon jour, prince*, proszę spocząć.

Książę (*siada*). Hrabiego niema w domu?

Julia. Mój mąż wyszedł niedawno.

Ks. Ratocki. Nie chcę być natrętnym i hrabinie czas zabierać—przychodzę do niej z małą prośbą.

Julia (*d. s.*). Co? i on także?

Ks. Ratocki. Właśnie *à propos* mojej żony...

Julia. Księżna przed chwilą znajdowała się tu u mnie, lecz z powodu jej wymagań i mowy, z jaką się do mnie zwróciła, i ostatecznie obelgi, rzuconej mi w twarz, byłam zmuszoną—wybacz książę—pokazać jej drzwi.

Ks. Ratocki. Znakomicie, hrabino, uczyniłaś. Słowa i gadanie takiej kobiety, jak na nieszczęście mojej żony, nikogo dotknąć nie mogą. To jest istota znikczemiała, bez czci i sumienia... Drzwi każdego porządnego domu powinny być przed nią zamknięte. Pozbyłem się jej nareszcie i wypędziłem ją z pod mego dachu. Niema co mówić, comtesse, zabrnęliśmy po uszy!

Julia. Zabrnęliśmy?! — powiadasz książe.

Ks. Ratocki. Tak jest, i z naszej własnej winy, bośmy zapragnęli prędko i łatwym sposobem dorobić się fortuny, chwytając łączywie złoto, świecące się w tym śmietniku, zagrzeźliśmy w nim sami, a teraz trudno z niego się wydobyć...

Julia. Co mówisz, książe! czy rzeczywiście dom Giełducha?

Ks. Ratocki. Giełduch już prawie bankrut, a jeżeli jeszcze oficjalnie nim nie jest, katastrofa nastąpi wkrótce, — nie ulega wątpliwości.

Julia. Giełduch brankrut! tak trudno odrazu uwierzyć.

Ks. Ratocki. W danej chwili sprawy jego stoją źle i szybkim krokiem dążą do likwidacyi interesów. Teraz właśnie wracam stamtąd, lecz w jego kancelaryi i biurach panuje taka wrzawa, że od Giełducha samego niczego dowiedzieć się nie mogłem, jednak powinienem moją sprawę załatwić.

Julia. Przecież, książe, wypędziłeś z domu swoją żonę i zerwałeś z nimi stosunki.

Ks. Ratocki. Nie zupełnie! pozostało dziecko na moją biedę i w dodatku znajduje się obecnie bez środków. Gdyby zatem prezes przed swem bankructwem wypłacił mi lub zabezpieczył pewną sumę, której żądam, na moje imię, bo teraz ja ich mam w swoich rękach...

Julia. Jaktó? przyjąłbyś książe w takim razie swoją żonę z powrotem?

Ks. Ratocki. Tego nie mówię, lecz zapewne moglibyśmy całą tę sprawę załatwić ugodowo.

Julia. (*d. s.*) Więc tu cała rzecz w pieniądzach... co za nikczemność!

Ks. Ratocki. Właśnie życzyłbym sobie zobaczyć prezesową i z nią pomówić. Z Gielluchem obecnie nie dojdę do żadnego ładu i rezultatu, z moją żoną zaś spotykać się wcale nie pragnę. Gdybyś, hrabino, była tak łaskawą i raczyła poprosić prezesową tutaj do swego salonu, wyrządziłabyś mi *comtesse*, wielką usługę. Może z nią się jakkolwiek urządzę?

Julia. Z największą przyjemnością! (*idzie de stołu na lewo i dzwoni*).

Lokaj (*wchodzi*). Pani brabina dzwoniła?

Julia. Poproś panią prezesową, aby raczyła przybyć tu do mnie.

Lokaj. Słucham pani hrabiny (*wychodzi na lewo I-sze drzwi*).

Ks. Ratocki. Doprawdy, żal mi was obojga, hrabino. Tak! dopóki prezes był potęgą i miał do wyrzucenia złota wiele mu się podobało, nie przeczę stosunek z nim był dość wygodny. Lecz, hrabino, nie powinnaś się zatrwazać, brać wszystko do serca i zwracać uwagę na te wszystkie plotki i złe języki. Trudna rada! świat już tak stworzony... Niech hrabia, i to moja szczerza rada, wycofa się z tych interesów jak najspieszniej, co zdoła wyciągnąć, zabiera i ucieka, bo wkrótce—jestem przekonany—nastąpi ogólna panika. Dziwna rzecz, jak my wszyscy jesteśmy niedołężni, naiwni i próżni—i taka cała nasza arystokracja (*macha ręką*).

S C E N A V.

Ciż sami, prezesowa Marya (*wchodzi z lewej strony*).

Ks. Ratocki. Witam, panią prezesową (*podaje jej rękę*).

Julia. Książę życzy sobie pomówić z panią prezesową na osobności i prosił, aby pani przybyła tu do mnie. Nie przeszkadzam i oddalam się.

Ks. Ratocki. *Je vous remercie bien comtesse* — i jeszcze raz stokrotnie przepraszam (*Julia odchodzi na prawo*).

S C E N A VI.

Marya i Ks. Ratocki.

Marya. Helena przed chwilą opowiedziała i wyznała mi wszystko. Jestem w rozpaczycy... nie mogę przyjść do siebie.

Ks. Ratocki. Prezesowa zatem znajduje się *au courant* całej tej smutnej awantury. Tłómaczenia moja są zbyt cenne.

Marya. Nie pragnę wchodzić w żadne detale oraz słuchania skarg i zażaleń jednej lub drugiej strony, głowa moja nie jest w stanie przenieść... Przypuszczam, że w tym wypadku cała wina jest po stronie Heleny, jednak książę jest jej mężem i ojcem jej dziecka. Mnie pozostaje tylko odwołać się do twojej wspaniałomyślności i jego szlachetnych uczuć.

Ks. Ratocki. Pani prezesowa powinna uznać i zrozumieć, że moja pozycja socjalna, jako męża, została skompromitowaną i zachwianą. Oszukany i zdradzony przez żonę, do rogiaczny zapisywać się nie myślę i grać dalej rolę męża

cocu—jak Francuzi nazywają—nie mam też żadnej ochoty. Byłem dotąd dosyć cierpliwy i nie mniej również pobłażliwy na postępowanie Heleny, lecz teraz miarka się przebrała i tej zabawie postanowiłem kres położyć. Po nitce doszedłem do kłębka i wczoraj właśnie późnym wieczorem, zawezwawszy na pomoc władze sądowe, udaliśmy się na wskazane miejsce schadzki mojej żony z jej kochankiem. Przylapaliśmy oboje na *flagrant délit* czyli na gorącym uczynku, spisano zaraz stosowny protokół i teraz będę w możności rozpocząć proces o rozwód.

Marya. Do takiego znowu skandalu ja nie dopuszczę, to niepodobna!

Ks. Ratocki. Skandal nie będzie wywołany przezemnie i z mego życzenia. Jeżeli córka pani będzie o tyle przezorną, iż uchyli się w tym procesie od wszelkiej obrazy, zapewniam panią, że będę ją oszczędzał, o ile będzie w mej mocy, Lecz jeżeli zapragnie się opierać i być względem mnie krnąbrną i zuchwałą, w takim razie ja jej oszczędzać nie myślę i publicznie zmieszam ją z błotem.

Marya. Helena cię zdradziła i nie była ci wierną księżę, ale dlaczego, pytam? Bronić jej przed tobą nie mam zamiaru. bo jakiby nie był mąż, kobieta zawsze powinna pozostać uczciwą i cnotliwą. Od samego jednak początku waszego związku byłeś dla niej mężem obojętnym i mało troskliwym. My kobiety w zamążpójściu nie wymagamy od mężczyzn tej miłości, o której niestety marzą młode dziewczęta; lecz wymagamy od mężów szacunku, przywiązania i pewnej opieki. Helena mogła być dobrą żoną i matką, gdybyś, księżę, z nią postępował w sposób oględny i przyzwoity i otoczył ją swą sympatją i opieką. Tego wszystkiego z twej strony nie było, i stąd właśnie pochodzą te fatalne skutki—zapragnąłeś bowiem nie żony, nie Heleny, — lecz tylko pieniądze.

Ks. Ratocki. *Mea culpa!* powinienem się uderzyć w piersi i całą winę przyjąć na siebie, a postępek Heleny uznać za prawidłowy i godny uwielbienia.

Marya. Słów moich nie przeinaczaj, proszę, lecz połóż rękę na sercu i sumienie twoje niech się odezwie wypowie: czy jesteś, mój zięciu, bez skazy? czy nie jesteś również przyczyną całego nieszczęścia?

Ks. Ratocki. Niech zatem nasze winy, czy tam występki będą zobopólne, sprzeczać się o to nie będę i prezesowa, jako matka, słusznie staje w obronie swej córki, pragnąc ją choć w części usprawiedliwić. Lecz w danej chwili, sędzę, należy zająć się położeniem obecnem i pomyśleć o tem, co dalej będzie? Z mojej strony postawiłem *ultimatum* t. e. rozwód. Gdyby się bez procesu można było obejść, tem lepiej, lecz wątpię, abyśmy w zgodny sposób zdołali się porozumieć?

Marya. Zastanów się książe. Przecież każdy proces tego rodzaju to hańba i skandal. Publicznie staniesz się oskarżycielem żony i matki twego dziecka i jeszcze zamierzasz ją zbeszcześcić i z błotem zmieszać; Helena, mogę cię zapewnić, będzie się w takim wypadku bronić, nie oszczędzając również siebie i oskarżając. Cóż wygracie na tym procesie, pytam? Zdepczesz i zniesławisz Helenę—prawda! Twoja miłość własna i twój honor będą niby zaspokojone i ocalone, lecz sam w głębi swego sumienia w jakim się ockniesz przykrem i nieznośnem położeniu? Wszyscy tobą książe, pogardzą, a twoje nazwisko i osoba zostaną również splamione i obryzgane tem błotem.

Ks. Ratocki. Wprowadzie brudną bieliznę pierze się w kółku familijnem—jednakże tu, podług mnie, innego wyjścia niema. Dalsze pożycie z Heleną w tych warunkach jest niemożliwe. Jestem jeszcze młody i rozwiódłszy się z córką pani, jako wolny, mogę się powtórnie ożenić.

Marya. Zapominasz, książe, że pozostało dziecko.

Ks. Ratocki. O! co się tyczy dziecka, troszczyć się o nie nie należy. Helena, obojętna dla swego dziecka, i jako matka nie wykonywa również swego obowiązku. Lecz to już druga kwestya, której w danej chwili nie rozwiązuję i oddaję ją nawet do rozstrzygnięcia samej pani prezesowej.

Marya. A jeżeli—przypuszczam—wygrawszy proces cywilny, kościół odmówi wam rozwodu?

Ks. Ratocki. Mniemam, że wówczas w interesie samym prezesa, żony jego i Heleny rozwód kościelny stanie się dla nich obowiązującym i koniecznym.

Marya. Mój mąż nigdy nie przystanie na ten rozwód.

Ks. Ratocki. Mąż pani przystanie i zgodzi się na wszystko, jestem pewny—co pani prezesowa postanowi i zdecyduje.

Marya. Skądże ta pewność?

Ks. Ratocki. Prawdopodobnie pani znajduje się mniej więcej *au courant* z tem, co się w około niej święci? Mąż jej bowiem znajduje się *à la veille* dnia swej upadłości i ruiny.

Marya. Mój mąż?! upadłości! ruiny! mówisz książe? To są tylko oszczerstwa i wymysły. Jego interesa się zachwiały, lecz do takiej katastrofy chyba jeszcze daleko i do niej z pewnością nie dojdzie!

Ks. Ratocki. A jednak mogę panią prezesową zapewnić, i to jest poniekąd moim obowiązkiem uprzedzić ją, że ta katastrofa zbliża się szybkim krokiem i że może już dni bankowego domu męża pani są policzone; informacye moje są zupełnie pewne!

Marya. Trudno przypuścić i temu uwierzyć? I dla tego właśnie, książe wybierasz taką chwilę, kiedy—jak powiadasz, jesteśmy blisko ruiny majątkowej, by korzystając z tej sytuacji, wypędzić żonę, a naszą córkę, ze swego domu i wytoczyć jej proces o rozwód? To... nieszlachetnie z twojej strony!

Ks. Ratocki. Prezesowa znalazłaby szlachetniej, ażeby pozostawić nadal moją żonę, a jej córkę, w objęciach jej kochanka? Uczynilem tak, jak nakazywały postąpić: mój honor i godność!

Marya. Honor i godność pańska przez podobny postępek mogą tylko ucierpieć. Ale, książe, nie nadużywajmy słów i daremnych oskarżeń. Zwracam się jeszcze jako matka i żona do twych wzniosłych uczuć i twego rozsądku. Nie dręcz mnie błagam i nie zabijaj... Tracę myśli i nie wiem co czynić?

Ks. Ratocki. Uspokój się pani, proszę. Od jej męża, jak wspomniałem, niczego się już spodziewać nie należy. On mnie posagu swej córki nie wypłacił, otrzymałem od niego tylko roczny procent od kapitału i od czasu do czasu pewne zaliczki.

Marya. Lecz skąd otrzymałeś książe te fatalne wieści, o tak rychłym bonkructwie mego męża?

Ks. Ratocki. Te wieści nie są już prawie tajemnicą dla nikogo. W naszych czasach upadłości tego rodzaju i krachy są powszednimi wypadkami i nikogo już nie dziwią. Wszystkie te wielkie przedsięwzięcia finansowe i fortuny są jak meteory—ukazą się raptem, zaświecą i znikają. Obecnie prezes walczy jeszcze, spekuluje na rynkach niemal całego świata, począwszy od New-Jorku aż do Berlina. Krach «Banku powszechnego» dał pierwsze hasło, następnie upadek akcyj innych banków i przedsięwzięć przemysłowych pociągnął za sobą wielkie straty. Wreszcie raptowna zniżka papierów domu prezesa czyli «Wzajemnej Pomocy», pomimo różnych starań, forsowań i zakupów własnych akcyj w celu podtrzymania ich zwyżki, okazały się ostatecznie próżnemi i «Wzajemna Pomoc» będzie zmuszoną przystąpić niezadługo do likwidacyi swych interesów. Kredytu prezes już nigdzie nie posiada, a Figielman, który grał na zniżkę, tryumfuje teraz. Taki jest w krótkich słowach stan domu męża pani, przytem jeszcze powinienem ją ostrzedz, że jeżeli przed sądownem ogłosze-

niem upadłości prezesa układy nie będą wypłacone i weksle zdyskontowane, jedna skarga, zaniesiona do sądu okręgowego przez któregoś z poszkodowanych wystarczy do zwrócenia śledztwa sądowego przeciw osobie męża prezesowej. Najczęściej się zdarza, że bankruci kończą na ławie kryminalnej.

Marya. Boże! co za wstyd! co za hańba!

Ks. Ratocki. Czy mąż nie wymagał od pani prezesowej czasem jakiego podpisu?

Marya. Rzado, bo też miałam się na ostrożności i większa część mego funduszu nietknięta.

Ks. Ratocki. Radzę bez zwłoki udać się pani do prawnika po poradę, bo wśród tego pogromu fundusz jej może z łatwością utonąć.

Marya. Za poradą doktora uczyniłam już pewne kroki w tym względzie. Fundusz mój przedstawia się w sumie, dochodzącej do dwóch milionów rubli, prócz jeszcze spodziewanej sukcesy w przyszłości po moim stryju. Mam dwie córki i im pozostawię mój majątek. Zlituj się książę nademną i nad tą nieszczęśliwą Heleną. Oddaję Wam połowę mego funduszu pod warunkiem, że będziecie korzystali tylko z jego dochodów, bo ty książę i Helena gotowi jesteście w krótkim czasie przeszastać i stracić cały ten majątek. Nie obrażaj się, proszę, wiem przecież dobrze, że tak jest. Zaniechaj, błagam cię, wszelkich procesów rozwodowych i przyjmij Helenę z powrotem do swego domu, a ja na przyszłość sama będę nad nią czuwała.

Ks. Ratocki. Jesteś, prezesowo, kobietą serca i z nią mogę się porozumieć. Powinienem jeszcze nad tą propozycją namyśleć się i rozważyć... (*wstaje*).

Marya. Może—da Bóg—mój mąż wydobędzie się z tego krytycznego położenia?

Ks. Ratocki. Wątpię bardzo!

S C E N A VII.

Cią sami i Gięduch.

Gięduch (*wchodzi z lewej strony drugimi drzwiami*). Przepraszam cię książę, lecz nie miałem chwili wolnego czasu rozmówić się z tobą i wysłuchać cię. Dobrze się składa, że żona moja tu obecna, możemy ci oboje oświadczyć, że na projektowany przez ciebie rozwód twój z Heleną przystać nie możemy. Ja o tem słyszeć nie chcę i zresztą mam teraz tyle interesów i kłopotów na głowie, że w żadne klótnie i zatargi familijne wchodzić nie myślę. Mam już tego wszystkiego.. póty! Postępuj zatem książę jak chcesz i uważasz za stosowne; jeżeli się nie pogodzicie między sobą, ja Helenę więcej w moim domu widzieć sobie nie życzę. Niech ona szuka przytułku gdzie jej się podoba! Co się tyczy pieniędzy, nie mogę w danej chwili zadość uczynić twemu żądaniu. Należy trochę zaczekać.

Ks. Ratocki. W kwestyi powrotu Heleny do mojego domu traktowałem właśnie z panią prezesową. Prezes zaś postąpiłby właściwie i roztropnie, gdyby zechciał—i to bezzwłocznie—zabezpieczyć posag mojej żony, przelewając go nie na moje imię lub Heleny—tego nie wymagam—lecz chociażby na imię naszego dziecka.

Gięduch. Tak! dobrze! pomyślę o tem!

Ks. Ratocki. Powinienem jednak w tym względzie posiadać pewien dowód lub gwarancję prawną i na piśmie—i to dziś jeszcze, bo jutro może będzie już zapóźno.

Gięduch. Za późno?! Co przez to rozumiesz książę?

Marya. Nasz zięć, mężu, żąda rozwodu z Heleną i na nasze nieszczęście posiada po swej stronie wszelkie pozory

słuszności. Prawo i honor przemawiają za nim, pragnę jednak z całej siły wstrzymać go od tego kroku i oddalić tę sprawę, o ile się da, do najdalszego terminu. Po mojej z nim rozmowie, doszliśmy oboje do pewnej ugody i Helena dziś jeszcze powróci do swego męża.

Giełduch. Do jakiej doszliście ugody?

Ks. Ratocki. Od prezesa zaś—jak powiedziałem—zależać będzie dalszy przebieg wypadków, jakoteż rozstrzygnięcie losu i przyszłości jego córki. Żegnam panią prezesową (*podaje jej rękę*) i pana prezesa (*wychodzi środkowemi drzwiami*).

S C E N A VIII.

Giełduch i Marya.

Giełduch. (*chodzi po scenie*). Niech go djabli porwą! Cóż z nim zrobiłaś, Maryo? powiedz proszę.

Marya. Oddaję im połowę mego funduszu.

Giełduch. Co? ty?! Tego nigdy nie będzie!

Marya. Inaczej postąpić nie mogę. Do skandalu i procesu rozwodowego dopuścić niepodobna; powinieneś to mieć na uwadze i nie brać mi za złe. Dość już mamy smutku i przykrości z naszą drugą córką.

Giełduch. Niemam dzieci, niemam córek... znać ich nie chcę! Jakby umyślnie, na obstalunek, jedna awantura za drugą—to człowieka do wściekłości doprowadzić może. Tego Sakowicza wraz z Zofią dziś lub jutro najdalej wywiozą. Otrzymałem w tym względzie na moją prośbę oficjalne zawiadomienie od prokuratoryi.

Marya. Lecz ja temu stanę na przeszkodzie i nie dopuszczę. Gubisz siebie i nas wszystkich.

Giełdych. To się już stało; twoje protesta i zabiegi niczego nie dokażą. Muszę się ich pozbyć! Lecz wracajmy do rzeczy Twoja, Maryo, wspaniałomyślność dla księcia i Heleny przejęła mnie do serca—to prawda, ale moje sprawy, nasze własne sprawy, Maryo, powinny cię trochę więcej obchodzić i interesować. Potrzebuję teraz pieniędzy w gotówce, ponieważ wszystkie moje kapitały są zaangażowane.

Marya. Ukrywasz przedemną fatalny stan interesów, szybkim krokiem lecisz do ruiny.

Giełdych. Bajki! Kto je napłótl? może książę? Kryzys nastąpił—nie przeczę. Papiery spadły i straciłem cokolwiek, lecz wszystko da się naprawić i niezadługo powetuję sobie te straty stokrotnie. Otóż widzisz, powtarzam ci Maryo, potrzebuję gotówki, a obecnie trudno.

Marya. I do mnie się zwracasz?

Giełdych. Nasz majątek nie podzielony, chociaż bez twego podpisu nie mogę podnieść pewnej sumy.

Marya. Wymagasz zatem odemnie mego własnego funduszu jako pożyczki. O! gdyby z tobą nie było tak krucho, nie zwracałbyś się do mnie z podobnem żądaniem, bo to widać twoja ostatnia ucieczka.

Giełdych. Niech i tak będzie, jeżeli tego chcesz koniecznie, lecz powinnaś podpisać i przedewszystkiem siebie i mnie mieć na widoku i ratować, a nie innych.

Marya. A więc ratować?! Zmyślasz tylko przedemną, jesteś bowiem już zrujnowany, a mój fundusz nie zdoła cię wyciągnąć z biedy i upadku i z tej przepaści, do której wpadłeś!

Giełdych. Za miesiąc najdalej, ręczę słowem, zwrócę ci sumę, której żądam od ciebie.

Marya. Jestem matką rodziny i babką dzieci moich córek, zabezpieczyć ich los jest moim obowiązkiem i powinnością. Moje pieniądze cię nie wyratują i z upadku nie podniosą—a gdy je stracisz?... pozostaniemy wszyscy w nędzy!

Giełdch (*chodzi ze złością*). Więc odmawiasz?

Marya. Odmawiam!

Giełdch. Jesteś kobietą bez serca i sumienia. Obejdę się bez ciebie, lecz ci tego nie daruję.

Marya. Postępuję właśnie podług sumienia i serca, jako matka i żona, a dla ciebie uczuwam litość i boleść.

Giełdch. Litości od nikogo nie potrzebuję—to moja zasada! Powinnaś wiedzieć, że twój fundusz znajduje się w moim ręku.

Marya. Mylisz się, byłam o tyle przeczniejszą i ostrożniejszą, iż muszę ci oświadczyć, że wniosłam już podanie o separację dóbr.

Giełdch. Co?... coś uczyniła, nieszczęśną?—to zbrodnia z twojej strony! Twój postępek zachwieje mnie odrazu jako finansistę, całą moją powagę i znaczenie. Nie! Maryo, rozważ na miłość Boga, zastanów się... Ja, ja powstanę, wydobędę się z tego kryzysu i zwyciężę! Ty zaś sama, moja żona, zamierzasz zadać mi cios śmiertelny i doprowadzić nas wszystkich razem do bankructwa... ruiny!

Marya. Pragnę i mam na myśli ciebie i nas wszystkich wyciągnąć z tej zgubnej przepaści.

Giełdch. Tak! oddając cały swój majątek tym rozpustnikom, niegodziwcom!

Marya. Zabezpieczę nasze dzieci od nędzy i sromoty. Ty się wydobędziesz z biedy, jak powiadasz, ja zaś z głodu nie umrę.

Giełdch (*energicznie*). Dość już z temi dziećmi i z temi głupcami czułościami. Potrzebuję pieniędzy, rozumiesz mnie, czy nie? I coby się nie stało, ja je wydobędę od ciebie, chociażby z pod twego gardła! (*podchodzi z pięściami do niej*). Podpisz tu natychmiast! ja tego wymagam!

Marya. (*odstępując*). Szał cię opanowuje, tracisz przytomność. Opamiętaj się nieszczęśliwy i wstrzymaj swą złość i popędy. Ratuj siebie póki jeszcze czas i co zdołasz urato-

wać z tego pogromu. Strzeż się i nie zapominaj, że nie tylko ruina majątkowa, lecz hańba i kraty więzienne oczekiwać cię mogą w niedalekiej przyszłości. Postępuj, proszę cię i błagam, oględnie i uczciwie, a modlitwy moje do Boga będą ci towarzyszyły.

Giełduch. Przestań bredzić! ja się niczego nie lękam i nie obawiam, lecz pieniądze są mi potrzebne. Powtarzam ci: siadaj i podpisz papier (*chwytą ją za rękę*) ja tak chcę i rozkazuje!

Marya. (*wyrywa rękę*). Puszczaj mnie! Rozkazywać mnie nie masz prawa. Byłeś całe życie dla mnie tyranem, a ja, na moje nieszczęście, twą uległą służką. Zrywam z tobą od tej chwili. Nie jestem twoją żoną! (*Odchodzi na lewo*).

S C E N A IX.

Giełduch sam.

Giełduch. (*z złością i rozpaczą*). A! bołaj! wszystko się zawzięło i skupiło przeciwko mnie—i bogowie mnie opuszczają! Niech grom z nieba raczej spadnie i odrazu roztrzaska moją głowę (*siada i chwytą się rękami za głowę*). Tracę siły i równowagę. Przed chwilą z Maryą uniosłem się niepotrzebnie i przegrałem z nią sprawę. Ona może w tym wypadku postępuje oględnie i stanowczo... Nie pokładają już wiary w moją siłę i potęgę... Miałbym upaść tak nisko i nie powstać więcej z tego upadku? (*wstaje*). Nie, nie! przynigdy! Moja przewodnia gwiazda nie zgasła i jeszcze jasno zaświeci nademną! Przeszkody usunę i interesa poprawię. Więcej zimnej krwi i przytomności umysłu, Giełduchu! Jak podczas bitwy dowódca jednym genialnym pójściem rozstrzyga odrazu sprawę i wygrywa batalię, tak i teraz ze mną wśród tej zawziętej walki o byt i życie; stawiam wszystko na jedną kartę i rezykuję. Szanse zwycięstwa mam

jeszcze wielkie, tylko pieniądze są mi na gwałt potrzebne! lecz skąd ich wy dostać? Od Maryi i tej malej sumki nie dostanę; do separacyi majątkowej nie dopuszczę... to niepodobna! Byłby to dla mnie cios okrutny! Wielką prawdę wypowiada doktor, twierdząc, że gdy człowiek w swem ręku silnie dzierży władzę i rozporządza milionami fortuny, wszyscy mu się nisko kłaniają, pochlebiają, prosząc go o protekcję,— gdy zaś traci i tę władzę i to złoto, traci jednocześnie miennie, owych pseudo-przyjaciół, którzy go otaczali i tych nawet, którym dopomagał lub nieraz wyciągnął ich z biedy. Ten niegodziwiec Figielman zdradził mnie ostatecznie i pragnie do reszty zgubić. Ożlaca się teraz moim kosztem, pomimo, że mu dopomagał często i że nawet z mojej łaski dorobił się znacznego majątku.—A jednak powinienem z nim wejść w ugodę, pomimo mej chęci i woli, bo on jeden jest w stanie mi dopomódz i wyciągnąć mnie z tej pozycyi... Fatalnie zagroźłem! (*chodzi po scenie*). Z tą hrabiną muszę się jeszcze widzieć i jej niektóre rzeczy poruczyć. Nudna ona z temi swemi grymasami i zadzieraniem nosa do góry! Wielka pani! Głupia gaska—i nic więcej! (*Lokaj wchodzi*).

Lokaj. List do pana prezesa.

Giełdch. (*odbiera list i czyta—lokaj odchodzi*). Czego znowu pragnie odemnie ta Sakowiczowa? (*czyta*) «Szanowny Panie Prezesie! Jestem cierpiąca i z domu nie wychodzę, a pragnę koniecznie się z Panem Prezesem widzieć i z nim się rozmówić w cztery oczy. Rozchodzi się tu o rzecz wielkiej wagi i doniosłości dla nas obojga. Nie zwlekaj, proszę, Panie Prezesie i racz do mnie pofatygować się bezzwłocznie.»—Co to być może? i o jaką tu idzie rzecz wielkiej wagi?! *Może to o ta sprawę syna i Zofii?*.. ale o tem nic nie wspomina. A może to jaka wiadomość dla mnie ważna i korzystna? Nie ma co, odpiszę jej, że stanę na jej wezwanie. A teraz z tą hrabiną! (*idzie na prawo, na jego spotkanie wychodzi Julia*).

S C E N A X.

Giełduch i hr. Julia.

Julia. Pan tutaj?! (*odwraca się i chce odejść*).

Giełduch. Właśnie szukałem pięknej hrabiny (*bierze ją za rękę i ciągnie na środek sceny*) Nie widzieliśmy się jeszcze dzisiaj, a mnie zawsze tęskno za tobą, Julio.

Julia. (*wrywa się*). Nie śmiesz pan i nie masz pan prawa do mnie w ten sposób przemawiać.

Giełduch. Znowu zaczynasz Jul., przepraszam, hrabino chciałem powiedzieć, i pozwól, abym złożył serdeczny pocałunek na twej anielskiej twarzyczce (*obejmuje ją i całuje*).

Julia. A! puszczaj mnie, nędzniku! nie wybiła jeszcze twoja ostatnia godzina!

Giełduch. Póki co?... Jeszcze nie! a gdy wybije, będzie ona też ostatnią jednocześnie i dla twojego męża, moja pani ukochana. Los wasz związany teraz z moim; powinnaś być dla mnie przyjazną i oddaną, nie życząc zguby temu, który wyciągnął was z nędzy, a przed tobą ukląkł jak przed królową i złożył u twych stóp swe serce i majątek.

Julia. Serce twe, panie, z kamienia, boś człowiek bez czei, wiary i sumienia. Majątkiem twym pogardzam. Zgubiłeś mnie i mego męża! Niegodnam i zhańbionam na zawsze!

Giełduch. Rozpoczynasz, moja królowo, swe ulubione sceny i historie... że ci też to nie zbrzydło? Nie jesteś ani zgubioną, ani zhańbioną, lecz tylko kapryśną kobietką i przytem panią wszechwładną moich uczuć i rozkoszy. Ja twoim niewolnikiem—taka moja zasada!

Julia. Milcz! podły zuchwalcze. Tyś moim katem, i szatanem! Puszczaj mnie stąd.

Giełduch (*wstrzymując Julię*). Przepraszam, na chwilkę! Nie jako kat i szatan, lecz jako oddany niewolnik mojej ubóstwianej królowej winienem złożyć u jej stóp pewną prośbę, której mi zapewne nie odmówi. Mówmy seryo! Dzisiaj opuszczam miasto i prawdopodobnie kilka dni z powodu interesów zabawię w Berlinie. Nie wiem, czy przed wyjazdem zobaczę się z hrabią, proszę zatem moją panię wyręczyć mnie przed swoim mężem, wypełniając to, o co ją proszę: Piszę tu do hrabiego, a ustnie powtarzam jego żonie, że jest mojem życzeniem wejść w bliższe stosunki z bankierem Figielmanem i w tym celu podczas mojej nieobecności, proszę was, złóżcie jemu i jego żonie wizytę, zaproście ich jutro do siebie na wieczorek, więcej poufały i niby familijny. Przyjmijcie tu ich, proszę, z należytyim przepychem i okazałością, gdyż mnie na tem bardzo zależy. Jestem przekonany, iż królowa moja, w postaci hrabiny Julii, będzie nadskakującą i uprzejmą. O to ją najusilniej prosi jej unizony i oddany sługa. Hrabiemu zaś (*wyjmując z kieszeni papiery*), proszę wręczyć ten list i dołączone do niego papiery. Mam nadzieję, że moja piękna pani zadość uczyni prośbie jej pokornego sługi (*wręcza hrabinie papiery*), usłucha jego rad i pragnień, a w dodatku dla miłości swego męża wykona wszystko podług woli i życzenia tego, który ją kocha i ubóstwia. Całuję rączki pięknej mojej królowej! (*całuje ją w rękę i spogląda na nią znacząco*). Au revoir mon ange adoré i do prędkiego widzenia! (*odchodzi na lewo*).

S C E N A XI.

Julia sama.

Julia (*cała drżąca stoi i spogląda na odchodzącego Giełducha -po chwili*). Ten człowiek posiada w sobie jakąś niepojętą siłę czy władzę, przed którą upadają wszyscy—i ja...

A! nie! *(postępuje kilka kroków)* Przeklęty ten dom, a jam potępiona!... Precz z temi papierami! *(drze papiery Giełducha i rzuca je do kominka na prawo)*. Więcej, mu się nie poddam—koniec ze mną! Dzisiaj—coby się nie stało—wyrwę się z tego piekła! napiszę do Romana, wyznam mu wszystko i ucieknę stąd!

Lokaj *(wchodzi z zopaloną lampą, stawia ją na stole na lewo)*. Proszę pani hrabiny, listy i gazety.

Julia. Połóż je tam na stole. *(Lokaj wychodzi. Julia jakby nieprzytomna i zamyślona idzie i pada na fotel po prawej stronie. Po chwili wchodzi hr. Roman środkowymi drzwiami w kapeluszu na głowie)*.

S C E N A XII.

Hr. Roman i Julia.

Roman *(zdejmuje kapelusz, zamyślony chodzi po scenie i spostrzega Julię)*. Sama jesteś, Julio? Nikogo tu nie było podczas mojej nieobecności?

Julia *(zrywając się)*. Ach! to ty! wróciłeś nareszcie. Nie! nikogo tu nie było.

Hr. Roman. Giełducha nie widziałas?

Julia. Nie widziałam.

Hr. Roman *(siada na lewo)*. Jestem zmęczony i przygnębiony!

Julia. Romanie, przestań przedemną ukrywać. Giełduch bankrut.

Hr. Roman. Bankrut?! Kto ci to powiedział?

Hr. Julia. Wiem o tem. Błagam cię, Romanie i proszę, dziś jeszcze, natychmiast wyjeżdżajmy z tego domu.

Hr. Roman. Gelduch nie bankrut—to fałsz! Ja go nie opuszczę do ostatniej chwili—to mój obowiązek i powinność, ja mu dałem słowo. Honor mój i godność nie pozwolą nigdy...

Julia. Honor twój i godność... Nieszczęsny, tyś ślepy!

Hr. Roman. Całe nasze społeczeństwo i cała arystokracja staną jak jeden mąż w obronie naszego prezesa; nie dopuścimy do jego ruiny!

Julia. Jakie społeczeństwo? zastanów się, Romanie. Arystokracja, ta goła i spodłala już go opuściła.

Hr. Roman. Wszystko to są czeze gadania! Zresztą, coby się nie stało, ja z posterunku mego nie zejdem i Gelducha nie zdradzę.

Julia. Listy i gazety leżą na stole.

Hr. Roman (*rozpieczętowuje listy i czyta, następnie roztwiera jeden list i z przerażeniem zrywa się—do siebie mówi*). Co? co takiego? (*czyta*) «Cały świat wie o tem—prócz chyba jednego męża—ze hrabina Julia Lipińska jest kochanką Gelducha, a hrabia Roman, jej mąż, na utrzymaniu swojej pięknej a niewinnej małżonki!» Co za nizeczemność! podłość! Patrz Julio, list anonimny—czytaj! (*daje jej list*). Oto masz najlepszy dowód, do jakiego absurdu dochodzą potwarze, kłamstwa i kalumnie. Zbyszczeszczają nas teraz jednocześnie z Gelduchem (*chodzi po pokoju*). Cóż powiesz na to, Julio? co?

Julia (*spokojnie*). Nic nie mówię.

Hr. Roman. Jaktó nic?! Ależ podobne oszczerstwa i bezczności mogą człowieka do wściekłości doprowadzić.

Julia. Jeżeli uważasz, że to są oszczerstwa i kalumnie, niemasz po co się wściekać i tak rozpaczać, lecz spokojnie wrzuc ten list do pieca i więcej o nim nie myśl.

Hr. Roman. Podziwiam doprawdy twoją zimną krew Julio! Spotwarzają ciebie, zbyszczeszczają mnie samego—i ja miałbym spokojnie... Nie! Julio, ja nawet nie przypuszczam, żeby ktokolwiek osmielił się zwątpić, cień najmniejszy rzucić na twoją niewinność i uczciwość, na honor nasz. Temu chyba

nie zaprzeczysz—to niepodobieństwo! Co za nędznik! niegodziwiec mógł to napisać? (*Julia patrzy w oczy Romanowi*). O! ja go wynajdę, zabiję! (*po chwili*). Nie odpowiadasz, Julio, dlaczego milczysz? Dziwnie na mnie spoglądasz, Julio...

Julia. A gdyby to była prawda? Wistocie, ja wiedziałam o tem, iż cały świat jest przekonany, że jestem kochanką, Gielducha.

Hr. Roman. Zamilcz na Boga, Julio! To fałsz! świat cały... to wymysł! chyba tylko nasi i Gielducha wrogowie!

Julia. Przyjaciół nie posiadamy, wszyscy są naszymi wrogami, a Gielduch pierwszym.

Hr. Roman. Jesteś zawsze dla niego uprzedzoną i niesprawiedliwą.

Julia (*wstając*). On kupił ciebie, aby mnie posiadał i zhańbił... Ty tego, Romanie, nie chciałeś pojąć.

Hr Roman. Co bredzisz, Julio?! Chciałabyś sama siebie potępić, co?

Julia. Potępiłam już siebie... On przemocą mnie zmusił, a ja ci wyznaję, iż jemu uległam.

Hr. Roman (*rzuca się na Julię i chwytą ją za ramiona*). Niegodziwa! co mówisz? (*odstępuje z przerażeniem*). Nie! nie! stokroć nie! Boże! co ja czynię?... zmysły tracę! Ty, Julio, miałabyś uleść jemu? ty kłamiesz! to nieprawda! żartujesz tylko, aby mnie wyrwać z tego domu i zerwać z Gielduchem, bo go nie cierpisz—i nic więcej! W tem cały sekret i dla tego przyjmujesz na siebie takie straszne oskarżenie?... (*podchodzi do niej i obejmuje ją*). Nieprawdaż, Julio? powiedz, proszę, zaklinam cię wyznaj mi. Uniosłem cię przed chwilą, wybacz mi moja najdroższa, uspokój mnie, błagam cię! Uczynię teraz dla ciebie wszystko, co tylko zapragniesz, Julio.

Julia (*chwiejąc, chyli się i upada na kolana przed Romanem*). Kłamać dłużej nie mogę, Romanie, ja cię kocham i dlatego nie mogę przed tobą ukrywać, że..... jestem zhańbioną.

Hr. Roman. (*rzuca ja i odstępuje*). Kochanką Gelducha ty, Julio, moja żona!! Więc to prawda?... sama wyznaje... Boże! co za przepaść! ruina... nędza... piekło... nie zrównają się z tą hańbą, która spada na moje jestestwo, niweczając całe moje życie i szczęście. Taka istota, jak ty, jeżeli to ma być prawdą, co wyjawiasz — nie warta jest już litości i pobłażania, boś ostatnia z nałożnic i stokroć gorsza od tych, które publicznie sprzedają swą miłość na rogu każdej ulicy.

Julia. O, Romanie, możesz teraz mnie odrzucać i mną pogardzać... Lżej mi na sercu, bo nie kłamie przed tobą... nie ukrywam się więcej... jestem oswobodzoną; ja ciebie kocham!

Hr. Roman. Kochasz mnie nędznicą, z Gelduchem jednocześnie!—tym starym rozpustnikiem.

Julia. Ach! na Boga! nie wymieniaj tego imienia. Stałam się jego ofiarą wśród strasznej męczarni i walki rozpaczliwej, bezsilną jego niewolnicą, którą on zwyciężył i posiadał.

Hr. Roman. Nie zmyślaj bezczelnie! Nie uwierzę nigdy... że on cię gwałtem zmusił. Kobieta cnotliwa i kochająca nigdy się nie podda, gdy nie chce. Nie uprzedziłaś mnie przecie, nie wyznałaś mi wszystkiego i odrazu po spełnionym fakcie?! Ukrywałaś się przedemną dość długo i zrećnie, ty wiarołomne, podle stworzenie!

Julia. Nie! dłużej nie wytrzymam! Na kolanach przed tobą, jak przed bóstwem, wyznaję ci wszystko dobrowolnie i otwarcie... całą prawdę. płynącą z mego bolącego i miłującego serca. Wyrwij je więc odrazu, Romanie, z pod moich piersi wraz z mojem życiem, lecz przestań pastwić się nademną.

Hr. Roman. Byłaś więc, Julio, w objęciach tego człowieka, podzielałaś jego łożę równocześnie z mojem... ha!... ha!.. ha!... (*chwytą ją za głowę*) i ta anielska twarz spoczywała na jego twarzy... te różowe usta całowały jego usta... (i to cnotliwe ciało wraz z jego ..) A! (odtrąca Julię silnie

ona upada na ziemię) Przekleństwo, hańba i sromota! (*pada na lewo na krzesło, zakrywa twarz rękami i jęczy*).

Julia (*podnosząc się z ziemi*). Romanie, tyś okrutny względem samego siebie i niesprawiedliwy. Zabij mnie, pomścij— to twoje prawo i powinność. Ja tego chcę, lecz nie wpadaj w rozpacz i przygnębienie. Jam jedna zawiniła przed Bogiem i przed tobą.

Hr. Roman. (*zrywając się*). Ty! tyś taka, jak i wszystkie inne.

Julia. Zamilcz! zlituj się!...

Hr. Roman (*stając nad nią*). Zabijać! pastwić się. . Nie! nie! Człowiek, któremu w piersiach bije serce jeszcze i posiada odrobinę rozsądku nie może i nie powinien być katem ani sędzią swojej żony lub kochanki. Fatalność tak zrządziła i takie było moje przeznaczenie. Miłość we mnie skonała. pozostań teraz w mej duszy cierpienia i hańba do śmierci. Idź precz!

Julia (*czołga się za Romanem na kolanach*). Romanie, zlituj się!... rozważ! Ja cię błagałam i prosiłam... odciągałam cię— o ile mogłam—od tego domu... od tego człowieka. Tyś mnie nie usłuchał, bo gorączka złota wszechwładnie opanowała cię całego, a ja przeczuwałam nieszczęście, bezwiednie pociągnęłam cię za sobą w tę otchłań hańby i ruiny. To cała moja obrona.

Hr Roman. I bezwiednie również, czołgając się za mną, wpadłaś w objęcia tego nędznika, by sprzedać mu swoją cześć, cnotę i honor?! O, co za upadek i sromota! (*chwytając się za głowę*).

Julia. (*wstając*). On urządził na mnie zasadzkę—powtarzając ci, Romanie.

Hr. Roman. To wszystko kłamstwo i sztuczne wymysły... No, a potem? (*chwytając ją za rękę*).

Julia. Wyznałam ci wszystko, nie pytaj mnie więcej... zaklinam cię... nie mogę już!..

Hr. Roman. Nie możesz? Tak! bo nie chcesz!.. I ten stosunek wasz trwał dotąd... wciąż, aż do dzisiejszego dnia? i trwałby zapewne dalej, gdyby nie ten list! No, i po cóż wyznałaś mi swój postępek, zmuszając mnie, abym weń uwierzył? Bylbym zrujnowany materyalnie, lecz nie świadomy swej moralnej zguby. Ze mną uczyniłabyś wszystko, coby ci się podobało, a ty, nieszczęsna, wolałaś przeciwnie: przez odkrycie całej nagiej prawdy zabiłaś i zniszczyłaś odrazu całe moje życie!

Julia. Nie byłam już w stanie dłużej cię oszukiwać, Romanie. Wyrzuty sumienia dręczyły mnie i z tobą takie pożyte było dla mnie katuszą. Ten człowiek, wspólny nasz wróg, zawładnął nami i pomimo mej woli i oporu groźbą i przymusem zniewolił mnie do milczenia i do posłuszeństwa. Tego sobie ja sama wytłumaczyć nie jestem w możności. Dziś nareszcie postanowiłam bądź co bądź zerwać moje kajdany i gdybyś ty, Romanie, nie przystał i nie zgodził się na moje prośby i błagania, postanowiłam nieodwołalnie, bez twej wiedzy uciec w nocy z tego domu i porzucić cię na zawsze!

Hr. Roman. (*myśli przygnębiony*) Dość tego! Co się stało, już się nie odmieni. Idź do swego pokoju, spakuj na prędko niezbędne rzeczy i razem ze służącą wyjedziesz do hotelu. Tam czekać będziesz na... dalsze wypadki. Tak sobie życzę

Julia. Jestem ci posłuszną i co ze mną uczynisz, będzie dobrze a ja ci wdzięczną. Nie zapominaj tylko, Romanie, że chociaż występna i niegodna już ciebie, lecz kochać cię nigdy nie przestanę (*odchodzi na prawo*).

Hr. Roman. (*sam*). Spiesz i nie zwlekajcie! (*siada na krześle, zakrywając twarz rękami po chwili*). Tak! leciałem jak szalony za tem w oddali świecącym się złotem i wpadłem w kałuże błota! Zrujnowany i zhańbiony! Śmierć li tylko, to mój jedyny ratunek i wyzwolenie! (*bierze papier, leżący na biurku i pisze*). Do Julii nakreślę kilka słów... ja jej prze

baczam, bo ona niewinna, ja jeden winowajca! Głupiec ze mnie i nędznik! (*Kończy list, pieczętuje kopertę i wstaje. Julia tymczasem w kapeluszu i ubrana do wyjścia, wychodzi i patrzy na Romana*) A teraz—koniec temu wszystkiemu należy położyć... (*otwiera szufladę w biurku i wyjmuje rewolwer*). Nabity. Ja ją kochałem i pragnąłem tylko jej szczęścia. Pieniądz zabił tę miłość, zniweczył szczęście i całą przyszłość... Tam może będzie lepiej, albo w nicości znikną cierpienia i świadomość o istnieniu! Boże wszechmocny wybacz! (*przykłada rewolwer do ust, Julia instynktownie biegnie i chwyta za rękę Romana, który strzela, lecz chybia*).

Julia. A! (*pada na kolana*).

Hr. Roman. Co to? Rozkazałem ci, Julio, natychmiast opuścić ten dom.

Julia. Przeczuwałam twój zamiar Romanie—to niegodziwie!

Hr. Roman. Po raz drugi, ty okrutna, druzgoczysz mi życie. Już bez ciebie byłbym wyzwolony i spokojny.

Julia. (*wstaje*). Ty żyć powinienes, Romanie. Twe samobójstwo to tryumf zła i niegodziwości ludzkiej.

Hr. Roman. Przestań już i nie wspominaj!

Julia. Pomścij mnie i siebie, słuszność i prawo staną po twojej stronie.

Hr. Roman. Niech i tak będzie! Jego wpierw zabije—uchodź stąd.

Julia. Daj mi słowo, że nie targniesz się więcej na swoje życie...

Hr. Roman. Daję!

Julia. Żegnaj cię... (*Julia wolno się oddala środkowemi drzwiami—Roman bezwładnie pada na krzesło*).

Zasłona spada.

A K T IV.

Mieszkanie Sakowiczów.

(Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany. W środku główne drzwi—na prawo i na lewo drzwi. Na prawo od widzów stół i biurko, na lewo kanapa i kilka krzesel.—Wieczór, lampy na stołach zapalone).

S C E N A I.

Wanda Sakowicz, Zofia i doktor.

W. Sakowicz siedzi na prawo przy stole zamysłona, doktor i Zofia siedzą na kanapie na lewo).

Zofia. Matka przebaczyła... a ojciec?

Doktor. Ojciec twój, pani Zofio, nieublagany; uparł się on przy swoim i ani kroku ustąpić niechce. Żąda on przytem waszego z miasta wyjazdu, a jeżeli nie uczynicie w najkrótszym czasie zadość jego życzeniu, to użyje on—jak twierdzi—siły. Jestem tego zdania, że należy ustąpić. Oddalcie się stąd gdzieś na prowincję a czas reszty dokona.

Zofia. Jestem gotową uleść żądaniu ojca, lecz Henryk, i zawzięty i uparty również, nie chce ani słyszeć o podobn^e

ucieczce. Ja sama znajduję się pomiędzy młotem a kowadłem, bezsilna, przygnębiona, żadnej woli nie posiadam i postąpię tak, jak chce Henryk i jak on postanowi. Ojciec wyrzekł się mnie i mną pogardza.

Doktor. Pan Henryk ustąpi, powinien ustąpić. Zresztą, biorę tę sprawę na siebie. Bądź, proszę cię pani Zofio, spokojną i nie trać nadziei, że wszystko przyjdzie do normalnego stanu. Potrzebuje pani teraz spoczynku, albowiem zdrowie przedewszystkiem.

Zofia. Dziękuję ci serdecznie, szanowny doktorze, jesteś doprawdy naszym aniołem opiekuńczym.

Służąca. (*wchodzi środkowemi drzwiami i wraca się do W. Sakowiczowej*). List do pani! (*oddaje list*).

W. Sakowiczowa. Do mnie? dawaj! (*odpieczętowuje i czyta*). Od niego... (*służąca wychodzi*).

S C E N A II.

Ciż sami i Henryk.

Henryk. (*z kapeluszem i z laską w ręku wchodzi z prawej strony*). No, nareszcie! Otrzymaliśmy, Zofio, pisemny rozkaz opuszczenia miasta w przeciągu 24 godzin. Na nieszczęście to sprawka twego ojca, Zofio, lecz to mu się nie uda, zaręczam, i jeżeli istnieje jeszcze jakaś sprawiedliwość na świecie, stanie się jej zadość. Udam się natychmiast do sądu i całą rzecz wyświeltę, wykażę niecny postępek tego człowieka a jestem przekonany, że wygram sprawę.

Zofia. Proszę cię i błagam, Henryku, zaniechaj wszelkich kroków w celu usprawiedliwienia się. Jesteśmy przecież niewinni, nie popełniliśmy żadnej zbrodni, cała ta sprawa z czasem musi się wyjaśnić, rozkazowi temu jednak powinniśmy uleść.

Henryk. Nigdy! żandarmami chyba mnie stąd wywłoką.

Zofia. Powrócimy zapewne wkrótce—ojciec wymagał i żądał, abyśmy dobrowolnie miasto opuścili.

Henryk. Ten, który się mianował twym ojcem, Zofio, przestał już nim być. On ciebie zniesławił i wyrzekł się jako swej córki, boś została moją żoną. Matkę moją znieważył u siebie w domu, gdy wstawiała się za tobą, błagając go w twojem imieniu litości i przebaczenia. Obecnie pragnie nas zhańbić i zgubić do reszty, bronić się jednak będę do ostatka i albo zginę, albo zwyciężę! Jeżeli mnie kochasz, Zofio, to mnie nie opuścisz i dopomożesz.

Zofia. (*rzuca mu się na szyję*). Z tobą razem i wszędzie, Henryku mój drogi. Nie zapominaj tylko, że jeżeli ojciec słusznie czy niesłusznie odtrącił od siebie swe dziecko—ja, jego córka, nie mam prawa i sił wyrzekać się i odtrącać mego ojca, jakim by on nie był.

W. Sakowicz. Henryku mój, zważ dobrze, że słuszność w tym wypadku znajduje się po stronie Zofii. Twój gniew i twoja rozpacz, które pojmuję i uwzględniam, zaślepiają ci jednak umysł.

Henryk. Lecz matko to podłość, nikczemność!

Doktor. Pani prezesowa, matka pani Zofii, oświadczyła mi że bezzwłocznie wniesie protest i ma nadzieję, że to rozporządzenie zostanie cofnięte. Dodać przytem należy—według kursujących wieści—iż interesa domu Gelducha mocno się zachwiały, a z nimi równocześnie zachwiała się powaga i władza prezesa.

Henryk. Na giełdzie akcje «Wzajemnej Pomocy» bardzo spadły, lecz w jego bankructwo jeszcze nie wierzę. Nie życzę nikomu złego, ale ruina tego człowieka, to nasz odwet i zwycięstwo.

Zofia. Nie bluźnij, Henryku. Gdyby ruina ojca stała się rzeczywistością, ja pierwsza czułabym się temu winną i bezwiednie przyczyną tego nieszczęścia.

Henryk. Ojciec twój nie zginie, Zofio. Oddałaś mi się całym sercem i duszą i ja tylko chyba, jako twój uwodziciel najwięcej zawiniłem i mogę się uważać za pierwszą przyczynę początku jego upadku. Lecz doprawdy ja tego nie żałuję! (*bierze jej rękę i całuje*).

H. Sakowiczowa. Muszę teraz przed wami wyznać, iż wczoraj napisałam kilka słów do pana prezesa, prosząc go, aby zechciał mnie odwiedzić i tu przybyć.

Henryk. Co? ty, matko?!

Zofia. I ojciec się zgodził?

H. Sakowiczowa. Tak jest! i właśnie przed chwilą otrzymałam od niego odpowiedź, w której oznajmia że dziś wieczorem zadość uczyni temu życzeniu.

Henryk. No, i po co matko prosiłaś go do siebie?

Hr. Sakowiczowa. Pragnę się z nim widzieć i porozmawiać na osobności.

Henryk. On tutaj! u nas?... u ciebie matko... Gięduch?!

Zofia. Boże! miej litość nad nami! drzę cała...

H. Sakowiczowa. Henryku, proszę cię, miej więcej zimnej krwi i rozwagi. Z prezesem muszę widzieć się koniecznie i od niego dowiedzieć się... mam bowiem do zokomunikowania mu... czyli raczej pragnę wyjaśnić pewną kwestyę, nader ważną dla mnie głównie i li-tylko jego samego obchodzącą...

Henryk. Mogłaś matko, sądzę, zakomunikować mu pismieniem tę ważną kwestyę, lub też żądać od niego pewnych wyjaśnień—jak się wyrażasz—lecz sprowadzać tutaj do nas najzawziętszego naszego wroga? Nie pojmuję cię matko i dziwi mnie tembardziej ten krok z jego strony i ta okoliczność, że on się zgodził i z taką łatwością przystał na twoje wezwanie.

H. Sakowiczowa. Sądzi on zapewne, że mam mu do zakomunikowania jakiś ważny dla niego interes—w tym też sensie do niego pisałam—lecz w istocie nie rozchodzi się tu

o żaden dla niego interes, ale jedynie—jak ci powtarzam—o wyjaśnienie pewnych wątpliwości, które on tylko sam może rozwiązać i wytłumaczyć.

Henryk. I które mnie lub nas nie obchodzą, matko? Alboż kwestya ta wątpliwa, którą pragniesz przez niego wyświeślić, nie może być przed nami wypowiedzianą?

Hr. Sakowiczowa. Tak! teraz nie.

Henryk. Więc to ma być dla nas tajemnicą?

H. Sakowiczowa. Poniekąd, do czasu, i proszę cię, Henryku...

Doktor (d. s.). Zaczyna mi coś chodzić po głowie i majaczyć przed oczyma.

Henryk. Nie śmiem matko więcej cię wypytywać i nalegać w kwestyi mnie obchodzącej, tembardziej, że tę sprawę czyli żądane od niego wyjaśnienia pokrywasz zasłoną tajemnicy. Byłem przekonany, że przedtem nie wiązały cię matko z prezesem jakiegokolwiek stosunki i że nigdy i nigdzie nie spotykaliście się aż do moich z Zofią zaślubin. Zdziwienie moje w tym wypadku jest wytłumaczone i całkiem naturalne. Oburzenie a przytem obawa przejmują mnie, nie przeczę, bo ten człowiek z gruntu jest zły i niczego dobrego od niego spodziewać się nie należy, dla tego ostrzegam cię, droga matko, bądź ostrożną i jeżeli nic nie nagli, daj lepiej temu pokój; nie rozpoczynaj z nim rozprawy, która może przynieść fatalne skutki a nam wszystkim jeszcze więcej zaszkodzi!

Hr. Sakowiczowa. Zaréczam ci Henryku, że nie poruszę z nim żadnej sprawy, mogącej w czemkolwiek pogorszyć obecny stan rzeczy. Żadnej prośby również do niego nie zaniósę i od niego wyłącznie będzie zależało, czy zechce mi dać kategorię odpowiedź na zadane mu pytanie.—Nic więcej!

Zofia (d. s.). Co to być może?

Doktor (d. s.). Już się zaczynam domyślać.

Henryk. Nie nalegam, postępuj matko według swej woli i chęci. Twoje życzenia są dla mnie rozkazem. Tyś święta kobieta i moja najukochańsza matka (*bierze jej rękę i całuje*). Wybacz, proszę, moją natrętność i gwałtowność, bo wobec tego człowieka tracę zmysły i równowagę.

W. Sakowiczowa. Mój synu drogi bądź przekonany, że nigdy przed tobą nie ukrywałam i zawsze byłam szczerą i otwartą. Sumienie moje, jako matki, jest czyste i spokojne, bo wypełniłam mój obowiązek i moją powinność. Ciężko nieraz było w życiu; pracowałam dla ciebie, boś był jedyną moją pociechą i twoje jedynie szczęście miałam na widoku. Wykierowałam cię na człowieka uczciwego, rozumnego i prawego. Młodzieńcza miłość, która cię opętała i twoje wreszcie ożenienie się zasmuciły mnie do głębi, nie ukrywam tego przed tobą, boś w tym wypadku postąpił nierozważnie, zanadto lekkomyślnie i wbrew moim przekonaniom i życzeniom. Ale co się już stało, tego cofnąć nie można. Nie mam zresztą dostatecznej powagi i prawa nawet wymawiać ci twój postępek i potępiać go, bo sama, jako kobieta, stokróć gorzej w mem życiu zawiniłam przed Bogiem i przed ludźmi.

Henryk. O, matko! błagam cię na wszystko, zaklinam! nie wspominaj o tej przeszłości i nie dręcz się napróżno. Po co?

W. Sakowiczowa. A jednak ta przeszłość staje mi dzisiaj przed oczyma, jakby przed chwilą zgonu, w całej swej fatalnej rzeczywistości. Oby ona tylko nie zamąciła twego życia i waszego szczęścia. Tego jedynie się obawiam; nie o mnie tu się rozchodzi, lecz o ciebie... o was.

Henryk. Miłość była przyczyną całej twej winy, matko, a jej owocem ja, syn twój oddany. Miłość również ovladnęła moją całą istotą, może nielegalna,—tego nie wiem—ale ona zwyciężyła przeszkody, rzuciła mnie w objęcia ukochanej kobiety. Występku tu niema żadnego, bo siła wyższa rządzi

naszemi czynami, myślą i sercem. Miłość ta naturalna przygarnia i łączy nas wspólnym węzłem i ona też tłumaczy i uniewinnia wszystkie nasze postęпки.

W. Sakowiczowa. Miłość, powiadasz... Tak! rzeczywiście, ona bywa często przyczyną pięknych i wzniosłych czynów, jak również i zbrodni. Lepiej dzieje się nieraz, kiedy rozważa i rozsądek biorą górę i przewyciężają nasze zmysłowe popędy i namiętności, które najczęściej bierzemy za miłość. Młodość ma swoje prawa i przywileje—temu nie przeczę, lecz na naszą biedę te młode i zapalone głowy, powodowane bezmyślnie żądzą miłości, wpadają często bezwiednie w to zaczarowane koło hańby i występku, z którego nieraz trudno im się już wydostać. I tak ta miłość wysządza nam istną krzywdę, za którą pokutujemy nieraz całe życie. Pragniemy potem sami się uniewinnić kładąc wszystko na karb miłości i młodości, a tymczasem świat potępia nas i pogardza nami. Najboleśniej czuję to na mojej własnej osobie (*siada i zakrywa twarz rękami*).

Henryk. Matko moją, co tobie? skąd takie smutne myśli przyszły ci do głowy?

W. Sakowiczowa. Pragnęłam przed wami, moje dzieci, i przed tobą doktorze, wypowiedzieć to wszystko, co czuję i co mnie boli, bo wyznaję, że z rozmowy, którą będę zmuszoną za chwilę prowadzić z prezesem, wynikać mogą dla mnie nader ważne i pożądanе okoliczności—lub też przeciwnie: bolesne i złowrogie. Do czasu życzę sobie tę wiadomość, o którą mi chodzi, jeżeli naturalnie prezes mi ją odkryje, zachować przy sobie nie jako tajemnicę wieczną, bo dzisiaj czy jutro dowiecie się o wszystkim i niczego przed wami ukryć nie zdołam.

Służąca (*wchodzi środkowemi drzwiami*). Jakiś pan życzy sobie z panią się widzieć. Oto jego bilet.

W. Sakowiczowa (*odbiera bilet i czyta*). To on! Proszę was oddalcie się...

Henryk (*do doktora*). Niczego dobrego nie spodziewam się, doktorze; miejmy się na baczność! (*do matki*) Będę, matko, obok, w moim gabinecie i gdyby zaszła potrzeba, zjawię się natychmiast, na każde twoje zawołanie (*odchodzi na prawo*).

Zofia. (*którą doktor odprowadza na lewo do drzwi*). Rzuć mu się do nóg i będę go błagała o przebaczenie.

Doktor. Ostrożnie, pani Zofio, nie narażaj się niepotrzebnie. Gdy nadejdzie stosowna chwila, ja cię sam zawiadomię (*odchodzi na prawo*).

Zofia (*d. s.*). Czuwać jednak będę i dowiem się... (*odchodzi na lewo*).

W. Sakowiczowa (*do służącej*). Proś tego pana (*sługa wychodzi środkowymi drzwiami*).

S C E N A III.

W. Sakowiczowa i Giełduch.

W. Sakowiczowa. Witam pana prezesa i dziękuję mu, że raczył się fatygować i przybyć na moje wezwanie. Proszę siadać (*wskazuje mu krzesło*).

Giełduch (*kłania się i siada—ręk sobie nie podają*). Pani ma do mnie interes, ważny podobno i mnie obchodzący?

W. Sakowiczowa. Rzeczywiście.

Giełduch. Lecz winienem panią uprzedzić, że w żadne gawędy i rozprawy, dotyczące się syna pani i jego żony wdawać się nie myślę...

W. Sakowiczowa. O nich mowy nie będzie. Poruszać tę bolesną historję w danej chwili wobec prezesa nie nam zamiaru, jak również o tem rozporządzeniem.

Giełduch. Mussieli go już otrzymać.

W. Sakowiczowa. Tak! na nieszczęście...

Giełduch. Pragnąłem, sama pani wie dobrze, aby ulegli mojemu życzeniu i dobrowolnie miasto opuścili, ponieważ

była moja córka, a obecnie mianująca się żoną syna pani, nie chciała usłuchać mego rozkazu i powrócić do domu rodzicielskiego, przez co mojemu życzeniu nie stało się zadość—musiałem przeto, wbrew chęci i własnemu życzeniu, użyć siły prawnej.

W. Sakowiczowa. Powiadasz prezesie prawnej?—i to musiało wystarczyć do dopięcia celu. Ale nie pragnę i nie chcę, jak wspomniałam, dotykać tego krzywdzącego i oburzającego nas wszystkich wypadku, gdyż musiałabym pana prezesa w oczy potępić. Mam inną sprawę: pragnę panu prezesowi uzynić pewne zwierzenie i zadać mu jedno pytanie.

Giełduch. Słucham panią!

W. Sakowiczowa (*wstaje, podchodzi do drzwi na prawo i lewo—poczem wraca i siada*). Przed trzydziestu laty mieszkała w Petersburgu pewna kobieta w wieku już dojrzałym i miała córkę jedynaczkę, liczącą około dziewiętnastu lat. Matka była wdową po wojskowym; utrzymywała się z emerytury rządowej, oraz dawała lekcje muzyki, co razem stanowiło jej niewielki roczny dochód, lecz wystarczający na skromne życie dla dwóch osób i pozwalający na jakie takie wychowanie jej córki. Córka uczęszczała wówczas do konserwatorium i kształciła się w śpiewie. Młoda dziewczyna była bez dozoru i należytej opieki, niezbędnych w tych warunkach, chociaż jej matka, o ile mogła i wiele miała wolnego czasu, poświęcała go swej jedynaczce i pragnęła w miarę możliwości i sił swoich ochronić swe dziecko od wszelkich złych pokus i niepożądanych znajomości. Stało się jednak naczaj. Młoda dziewczyna poznała pewnego młodego człowieka i wkrótce związał się między niemi romans. W imieniu tej dziewczyny, raczej kobiety, która jeszcze żyje i którą ja znam, przemawiam do prezesa.

Giełduch (*niespokojnie*). Nie pojmuję dobrze, co za stosunek może istnieć między mną a tą kobietą?

W. Sakowiczowa. Czy prezes w owym czasie znajdował się w stolicy?

Giełduch. Nie przeczę — lat temu ze trzydzieści mniej więcej przebywałem w Petersburgu.

W. Sakowiczowa. Ona miała na imię—Wanda, a jej kochanek—Józef.

Giełduch. Wanda!

W. Sakowiczowa. Spostrzegam, że prezes zaczyna sobie przypominać te ubiegłe czasy? Stosunek ich obojga trwał niespełna rok i gdy ona, na nieszczęście, została w ciąży, kochanek ją opuścił. Od chwili ich rozłączenia, nie spotkała ona nigdy więcej swego uwodziciela.

Giełduch. Następnie cóż się z nimi stało?

W. Sakowiczowa. Wanda powiła syna; w kilka lat po wypadku wyszła za mąż za technika kolejowego, człowieka już nie zbyt młodego, który jednakże syna jej nie usynowił, chociaż mu pozostawił swoje nazwisko. Nie długo trwało ich małżeńskie pożycie i po pięciu latach mąż jej wskutek katastrofy kolejowej utracił życie, syn zaś jej z nieprawego łoża pozostał i żyje. Więcej dzieci nie miała.

Giełduch. To może być wszystko bardzo ciekawe—co pani opowiada—dla osób w tej historii zainteresowanych, ma się rozumieć, lecz co mnie to może obchodzić? Dla mnie to żaden interes. Przypuszczałem, że pani ma mi do zakomunikowania pewne konfidencje, tyżące się spraw, któremi się zajmuję i które mnie obchodzą, pani zaś opowiada mi jakiś romans dziewczyny z przed trzydziestu laty! Ja nie mam czasu do stracenia (*ustaje*). Żegnaj panią!

W. Sakowiczowa. Wstrzymaj się proszę, panie prezesie, i wysłuchaj do końca.

Giełduch. Jeżeli ta matka i jej syn znajdują się w potrzebie i zebrzą wsparcia, to mogę...

W. Sakowiczowa. Oni nie zebrzą i żadnego wsparcia nie potrzebują. Siadaj, panie prezesie! (*siada*). Chciałam właśnie spytać, czy tę dziewczynę, Wandę, znałeś, panie prezesie?

Giełduch. Trudno sobie przypomnieć... Bardzo być może, że i znalazem... takie dawne czasy...

W. Sakowiczowa. Byleś jej kochankiem, prezesie.

Giełduch. Ja?! Skądże takie przypuszczenie?

W. Sakowiczowa. Nie udawaj, prezesie, zdziwionego i wyznaj szczerze. Od twojego zeznania wszystko zależy. Zaręczam słowem, że tajemnica zostanie pomiędzy nami i nikomu jej nie wydam.

Giełduch. Jeżeli pani tak o to chodzi, nie przeczę, może i byłem jej kochankiem.

W. Sakowiczowa. A jej syn równocześnie jest i twoim synem.

Giełduch. To druga kwestya! na którą pani nie odpowiem. Czy byłem jednym z kochanków tej Wandy, może ona sama w tym względzie najlepiej wiedzieć i sobie przypomnieć, jeżeli sobie tego życzy, bo to mnie teraz tyle obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Co się zaś tyczy dziecka, mąż nigdy nie jest pewny prawowitości swego dziecka i nie może zaręczać o wierności swej żony—to jest moja zasada— a cóż dopiero chwilowy kochanek.

W. Sakowiczowa. Wanda miała tylko jednego kochanka i była ci, panie, wierną do ostatka—wiesz o tem dobrze, panie. Posądzać ją o niewierność ku tobie i wyrzekać się w tym wypadku ojcostwa—byłoby z twej strony, panie prezesie, postępkami nieszlachetnym i obrzydliwym.

Giełduch. Skąd pani wiesz o tem i możesz ręczyć? (*Zofia odchyła zwolna drzwi na lewo, podśluchuje i powoli wysuwa się na scenę*).

W. Sakowiczowa. Ręczyć za to mogę, ponieważ sam pomimo woli zeznałeś przedemną, żeś był jej kochankiem i porzuciłeś nieszczęsną dziewczynę wówczas właśnie, gdy

miałą zostać matką z twojej li tylko przyczyny. Możesz przesyłać otwarcie wyznać wszystko i prawdy dłużej przedemną nie ukrywać. Patrz, proszę, na tę fotografię (*bierze leżącą na stole i podaje ją Giełduchowi*) i przypomnij sobie tylko. przesyłać, do kogo podobna?

Giełduch (*wpatruje się w fotografię i spogląda na Wandę Sakowiczową*). Co pani zależy na mojem wyznaniu? (*Zofia cała drżąca zbliża się do kanapy*).

W. Sakowiczowa. Całą prawdę dla nas obojga i tę straszną rzeczywistość, którą odgadłam, gdyś cię po raz pierwszy ujrziała od tego czasu, przesyłać, i usłyszała twój głos.

Giełduch. A więc ta Wanda, to ty sama, pani?

W. Sakowiczowa. Ja! Poznałeś mnie nareszcie?!

Giełduch (*ustając*). Syn pani Henryk, to i mój...

W. Sakowiczowa. Tak! na nieszczęście!

S C E N A IV.

Ciż sami i Zofia.

Zofia (*padając na ziemię zemdlna*). Ach! co? Henryk! Boże!

Giełduch. Podsluchiwała za drzwiami. Niech za to będzie ukarana.

W. Sakowiczowa (*zrywa się i biegnie do Zofii*). Zofio poco tu przyszłaś? Prędszej!.. wody! (*Giełduch nalewa wody do szklanki i podaje Sakowiczowej która cudzi Zofię*). Henryku! gdzie ty? na pomoc!.. po doktora!

S C E N A V.

C i ż s a m i i H e n r y k .

Henryk (*wpada z prawej strony*) Co się tu dzieje, matko? Zofia zemdlala!.. A to ty, panie prezesie! przyszedłeś tu na wezwanie mojej matki... znieważać i uragać się nad nami, Nie wiem, co tu zaszło, lecz matka i Zofia w takim stanie... i to ty, nędzniku, doprowadziłeś je do tego... Ze mną teraz będziesz miał do czynienia, zbrodniarzu. Precz stąd natychmiast, bo cię znieważę wobec matki i żony! Precz!

Giełdub. Wyjdę, kiedy zechcę... a czy masz pan do tego prawo, spytaj lepiej swojej matki.

Henryk (*chwyci łaskę*) Precz stąd, powiadam! (*podnosi łaskę na Giełducha*). Precz, bo uderzę!

W. Sakowiczowa. Henryku, na Boga! wstrzymaj się.! On twoim ojcem!..

Henryk (*opuszcza łaskę*). On?!. moim ojcem! co mówisz matko.

W. Sakowiczowa. Cała tajemnica.

Henryk. Zofia moją siostrą? Boże!

Giełdub. Spiesz pan prędzej po doktora.

Henryk (*nieprzytomnie wybiega na prawo*) Doktorze doktorze!

S C E N A VI.

W. Sakowiczowa, Zofia i Gięduch.

(Zofia leży omdłona — przy niej klęczy Sakowiczowa).

Gięduch. I ja tu po tu przyszedłem, żeby się dowiedzieć... głupia sprawa! *(spogląda na zegarek)* Wpół do dziewiątej, pociąg odchodzi za godzinę. Dziwne doprawdy i niepojęte wypadki zdarzają się na świecie... Dłużej tu nie mam poco zostawać *(odchodzi ku środkowym drzwiom)*. Zresztą ta cała historia mało mnie rozczuła i wcale nie obchodzi. . Odnalazłem niespodziewanie syna—zupełnie niepożądanego—i odnalazłbym z pewnością więcej podobnych nieprawych dzieci, gdybym rozpoczął poszukiwania. Ale mam tego już dosyć! Pozbyłem się ich wszystkich i znać ich nie chcę. Niech się oni tam wykręcają z tego położenia, jak im się podoba—mam ważniejsze sprawy na głowie! *(odchodzi)*.

S C E N A VII.

W. Sakowiczowa, Zofia, Henryk i doktor.

Doktor *(wchodzi spiesznie z prawej strony, za nim Henryk)*. Co się stało? Zofia bez pamięci... *(schyla się do Zofii i obejmuje ją)*. Zofio, odezwij się! Zosiu, córko moja! dziecko moje, co tobie?

W. Sakowiczowa *(d. s.)* Co słyszę?.. jego córka! *(Henryk staje jak wryty w środku sceny)*.

Doktor. Panie Henryku, proszę pomóż, podniesiemy Zofię i położymy ją na kanapie (*przenoszą Zofię jeszcze nieprzytomną; doktor cudzi Zofię, dając jej wachać z flakoniku*).

Henryk. (*d. s.*) Doktor ojcem Zoffi—co znowu? Tracę zmysły i nie mogę przyjść do siebie!

Zofia (*przychodzi do siebie*). Proszę was, błagam, pozwólcie mi umrzeć, ja żyć nie mogę.

Doktor. Żyć będziesz, moje drogie dziecię. Teraz twój prawdziwy ojciec i opiekun będzie czuwał nad tobą.

Henryk. (*d. s.*) Ja synem Gelducha! A! przekleństwo! Bodajby ta tajemnica mojego urodzenia pozostała była dla mnie tajemnicą do grobowej deski (*pada na krzesło i zakrywa twarz rękami*).

S C F N A VIII.

Ciż sami i Marya.

Marya (*zjawia się w środkowych drzwiach i spostrzegłszy Zofię leżącą na kanapie, śpieszy ku niej*). Zosiu! Boże! co jej?.. nie żyje?

Doktor. Żyje... niebezpieczeństwo minęło.

W. Sakowiczowa (*na stronie*). Kamień spadł mi z serca. Opatrzność zlitowała się nademną i nad moim synem!

Zasłona spada.

AKT V.

Gabinet Giełducha.

(*W głębi środkowe drzwi. Na prawo od widzów drzwi, bliżej biuro i krzesła. Nalewo dwoje drzwi. Kanapa i umeblowanie.*)

SCENA I.

(*Przy podniesieniu zasłony scena pusta.*)

Giełduch sam.

Giełduch (*wbiega z prawej strony błądy i zmieniony*) Bankrut! bankrut! Zrujnowany ostatecznie! (*pada na fotel z lewej strony*). Żadnego chyba już niema ratunku. «Wzajemna pomoc»—krach... ogłoszono jej upadłość. Nigdzie pieniędzy i żadnego kredytu! Takiego rezultatu i w tak krótkim czasie trudno się było spodziewać... Zabrnąłem, jak ostatni nędznik, w tę otchłań ludzkiej głupoty, z której już się nie wydobędę (*chwytą się za głowę*). Oj ta głowa!.. nieszczęśliwa moja głowa... cała rozpalona, jakby w ogniu—już do niczego! Myśli moje się płaczą (*wstaje*) Ach! zwarjuję ostatecznie! Z takiej wysokości potęgi finansowej, do jakiej doszedłem przemocą, sprytem i siłą woli, spaść odrazu tak nisko i ginąć marnie jakby w ostatnich konwulsjach konającego—

to okropnie! to niepodobna! Nie! nie! stokroć nie! Spadłem z góry, leżę rozbity, lecz nie zabity... żyję jeszcze i odżyję. Powstanę z tego upadku i wzniosę się powtórnie do tej wysokości, lecz już ostrożniej i rozważnie. Za wiele ryzykowałem, zbyt ufałem w moje szczęście i powodzenie. Grałem i wygrywałem, aż wreszcie wszystko przegrałem... Ale to nie koniec! (*chodzi po scenie*). Rozpocznę na nowo! Nie należy rozpaczać i narzekać, lecz działać i nie tracić energii! Ani chwili czasu nie mam do stracenia. Zbiorę tylko niezbędne mi papiery i dokumenta (*idzie do biurka*) i jakie się jeszcze znajdą pieniądze, a następnie marsz w drogę—i to dziś koniecznie, bo jutro może będzie zapóźno! (*Wyciąga z biurka papiery, porządkuje i niektóre chowa do bocznej kieszki*). Z tym Sakowiczem muszę się rozmówić przed wyjazdem. Napiszę do niego kilka słów... Co za ironia losu! Córka moja za... mego syna... A! to istna fatalność, czy też może i kara niebios? (*pisze*). Jednak on pozostaje jedyny, który mi może oddać przysługę i któremu mogę poruczyć pewne zlecenie (*kończy list, dzwoni i oddaje wchodzącemu lokajowi*). Odnieś natychmiast ten list podług adresu.

Lołaj. Słucham pana prezesa (*odchodzi środkowemi drzwiami*).

S C E N A II.

Giełduch i Doktor.

Doktor (*wchodzi z lewej strony drugimi drzwiami; zatrzymuje się i spogląda na Giełducha—na stronie*). Zrujnowana potęga! Zmienił się w ciągu kilku dni do niepoznania. Pomimo wszystkiego żal mi tego człowieka. (*Do Giełducha*). Czy przeszkadzam panu prezesowi?

Giełduch (*wstając*). Jak się masz, doktorze? myślałem, że się już z tobą nie zobaczę.

Doktor. Pan prezes wyjeżdża?

Giełduch. Tak jest!—za chwilę... i prawdopodobnie do kraju więcej nie wrócę...

Doktor. Wyjeżdżaj, panie prezesie—i szczęście Boże! Nigdy nie podzielałem waszych poglądów oraz sposobów postępowania, zapomocą których dochodzicie do milionowych fortun. Jestem jednak od kilkunastu lat przyjacielem waszego domu i tobie, panie prezesie, wiele zawdzięczam... dla tego też mam na sumieniu...

Giełduch. Jesteś, doktorze, człowiekiem prawym i uczciwym w ścisłym tego słowa znaczeniu, ja zaś nigdy nim nie byłem—przyznaję to otwarcie przed tobą. Pragnąłem bowiem drogami krętymi i nielegalnymi dojść do zamierzonego celu i właśnie, gdy zdawało się, że jestem już blisko upragnionej mety i stoję mocno na gruncie, odrazu pośliznęła mi się noga i upadłem ciężko zraniony, jakby w zasadzce kulą ugodzony. Zapewne, masz słuszość, doktorze, twierdząc, iż człowiek, pracujący uczciwie na kawałek chleba i nie zbaczający w swych postępkach z prawej drogi, nigdy nie dojdzie do znacznego majątku, a tem bardziej do milionowej fortuny—to święta zasada! Ty doktorze i tobie podobni jesteście szczęśliwsi od innych, bo wasze sumienie czyste i spokojne.

Doktor. W pogoni za fortuną i mając li tylko zysk na oku, człowiek brutalnie depece i usuwa wszelkie przeszkody, które tamują mu drogę. Wspomnij tylko prezesie, wiele istot ludzkich w ciągu twej świetnej kariery finansowej przyprowadziłeś do nędzy, wielu zrujnowałeś i wielu wtrąciłeś do grobu, chociaż mogłeś żadnego z nich nie znać i z nimi się nie spotykać. Lecz, niestety, w naszym pseudocywilizowanym świecie grę finansową i spekulacyjną nie poczytuje się za zbrodniczą i niegodziwą, ponieważ jest prawem sankcyonowaną i dozwoloną.

Gięduch. Ja sam dzisiaj muszę się zaliczyć do liczby tych biedaków i nędzarzy. Znalazł się silniejszy odemnie, który mnie zepchnął z drogi. Jestem zrujnowany!

Doktor. Jaką bronią wojowałeś, od takiej giniesz! (*Z lewej strony drugimi drzwiami wchodzi Marya.*)

Gięduch. Pogardzasz mną doktorze i potępiasz moje zamiary, a jednak i ja miałem pewne wznioślejsze ideały, de których dążyłem. Tylko całe nieszczęście w tem, że mi się nie udało. O! gdyby mi się udało i gdybym się był utrzymał na zdobytem stanowisku, cały świat klęczałby u moich móg, wychwalał mnie jako bohatera i człowieka czynu, rozumu i serca. Wszystko to za jednym zamachem djabli wzięli! Ale jeszcze nie tracę nadziei; wezmę się znowu do dzieła i powstanę z upadku. Fortuna się kołem toczy! Teraz zegnamię cię doktorze i dziękuję ci za przyjaźń, okazywaną mi w ciągu całego czasu, oraz za twe współczucie nad moją ruiną majątkową. Jesteś zapewne, doktorze, jedyną osobą, z którą rozstaję się po przyjacielsku. Podaj mi swoją dłoń, albowiem uścisk twój, doktorze, przyniesie mi wiele ulgi i pociechy (*podaje rękę doktorowi*).

Doktor (*cofając rękę*). Tego uczynić nie mogę!

Gięduch. Co? odtrącasz moją rękę! Tego po tobie, doktorze, nigdy się nie spodziewałem.

Doktor. Omyliłeś się, panie prezesie. Ja potępiając twój sposób postępowania, krytykowałem wasze projekta i cele, do których dążyliście, lecz byłem również winowajcą i nie takim uczciwym i prawym człowiekiem względem ciebie, panie prezesie, za jakiego mnie uważałeś. Zdradziłem cię i oszukałem, i dlatego nie ja cofam rękę przed twoim uściskiem, lecz ty, panie prezesie, nie zechcesz mi swojej podać i mnie samego odtrąciszyć.

Gięduch. Nic nie rozumiem, co chcesz powiedzieć doktorze...

Doktor. Pragnąłem szczerze, panie prezesie, zachować przed tobą tajemnicę do końca i nigdybyś się niczego nie dowiedział, ale wypadki zrzędziły inaczej i okoliczności zmuszają mnie do wyznania przed tobą całej prawdy. Wreszcie, jest to gorącym życzeniem twej żony, panie prezesie, abym ci wszystko wyjawiał... (*Marya zbliża się*). Pani Maryi oddaję głos, ponieważ tego pragnęła i na mnie wymogła...

Giełduch (*znieczierpliwiony*). Prędszej! mówcie o co rzecz się rozchodzi.

S C E N A III.

Giełduch, doktor i Marya.

Marya. Od dnia naszego połączenia pragnęłam zawsze z całego serca, mężu, być ci oddaną i wierną żoną, wyszłam bowiem za ciebie z przywiązania, jeżeli nie z miłości. Miałam znaczny posag, ty zaś bez pieniędzy rozpoczynales dopiero swoją karierę—moim majątkiem dopomogłam ci. Wychodząc za ciebie, byłam przekonana, żeś człowiek uczciwy i żeś mnie również pokochał; byłam w błędzie. Od samego początku naszego związku wszędzie i zawsze li tylko swój interes miałeś na widoku, żona zaś twoja służyła ci za narzędzie dla dopięcia twych pragnień i zamiarów. Wkrótce porzuciłeś mnie jako żonę, i zapragnąłeś prowadzić życie wolne, nie krępując się w niczem; mną poniewierałeś a z swemi kochankami i awanturnikami paradowałeś przed światem, wprowadzając je nawet pod dach rodzinny.

Giełduch. Dosyć tego gadania i wymówek. Do rzeczy prędszej!

Marya. Powinieneś wysłuchać, ponieważ oskarżając ciebie jako męża, sama siebie pragnę choć w części uniewinnić i

usprawiedliwić. Wyznaję teraz, że źle postąpiła, powinna byłam cię porzucić, lecz nie my rządźmy wypadkami. Traf zrzucił, że poznałam człowieka młodego, pełnego zalet i serca, i pokochałam go. Tym człowiekiem był obceny tu doktor. Mój stosunek z nim trwał długie lata i nigdy zapewne żadne podejrzenie nie przyszłoby ci do głowy, że ja jestem niewierną żoną, a on moim kochankiem.

Giełduch (*z złością*). A, wy nikczemni! zdrajcy!

Doktor. Masz prawo, panie prezesie, żądać odemnie zadośćuczynienia, a ja ci go z pewnością nie odmówię. Jestem na twoje rozkazy!

Marya. Zawiniłam jako żona i matka, albowiem nie dotrzymałam przysięgi, złożonej przed ołtarzem. O przebaczenie jednak błagać cię nie będę, bo ty również, jako mąż, byłeś względem mnie niewierny i nieuczciwy. Prawnie możesz ze mną postąpić jak ci się podoba.

Giełduch Cóż ja z wami mogę uczynić? Jakiego zadośćuczynienia mam od was wymagać? Zadusić chyba was oboje ha! ha! ha!... to może byłaby najsprawiedliwsza kara, na jaką zasłużyliście. Ty, zresztą, Maryo, nie jesteś już moją żoną, porzuciłaś mnie w najkrytyczniejszej chwili i zabrałaś z sobą swój fundusz—między nami nie już niema wspólnego! Z tem wszystkim całą tę historję zdrady i waszego stosunku mogliście i nadal przedemną w tajemnicy zachować, mało mnie ona teraz wzrusza i gniewa. Wszystko mi jedno... oddalcie się stąd!

Marya. Mogłam cię rzeczywiście pozostawić nadal w nieświadomości co do zdrady małżeńskiej, lecz tu nie rozchodzi się tylko o mnie, o moją własną osobę, pragnę przeto wypowiedzieć się przed tobą do końca, ponieważ powinieneś wiedzieć...

Giełduch. Wiem już wszystko, zostawcie mnie w spokoju.

Marya. Milczałabym z pewnością, gdyby nie ten niespodziewany wypadek wyjścia za mąż Zofii za Sakowicza.

Giełduch. Tak! siostra za brata i to wasza sprawa.

Marya. Zofia nie jest twoją córką...

Giełduch. Co? co?... Zofia nie jest moją... *(pada jakby uicprzytomny na krzesło)* To kłamstwo, to wasz wymysł.

Marya. Zaręczam ci, jako matka, iż nie kłamię.,.

Giełduch *(spogląda na nich)*. O! wiarodonna, nikczemni! Precz z moich oczu! Podli ludzie! *(Doktor bierze za rękę Maryę)*.

Marya. Żegnaj cię, Józefie, na zawsze i przebaczam ci całe zło, któreś mi uczynił.

Doktor. Powiedziałaś wielką prawdę, prezesie: «podli ludzie!» *(Oboje odchodzą na lewo drugimi drzwiami)*.

SCENA IV.

Giełduch *(sam)*.

Giełduch. Niczemu się już dziwić nie należy, a spodziewać się mogę wszystkiego najgorszego, co tylko mnie spotkać może. Zdrada wokoło, i ani jednej przyjaznej twarzy, ani psa nawet! Sam ludzi oszukiwałem i w rezultacie jestem przez nich oszukany... dzieci moje nie są mojemi... Lecz ten Henryk Sakowicz to mój syn, jak zapewnia matka, a ona chyba nie kłamię—Zofia zatem nie jest jego siostrą... Tem lepiej! takie było zrządzenie Opatrzności... Zresztą, wkrótce porzucę ten kraj i tych ludzi i szukać będę znowu szczęścia w innych stronach *(patrzy na zegarek)*. Sakowicz się nie zjawia, zapewne nie przyjdzie *(wstaje)*. Pójdę sam do niego, czas leci, a z nim się muszę widzieć koniecznie *(bierze ze stołu kepelusz i nakłada go na głowę)*. Czuję, jak mnie siły opuszczają, mam dużo pracy przed sobą, abym tylko placu dotrzymał i wytrwał *(idzie na prawo i w drzwiach spotyka się z hr. Romanem, który rzuca się na niego)*.

S C E N A V.

Giełduch i kr. Roman.

Hr. Roman. Nareszcie cię znajduję, nikczemniku! (*chwytając Giełducha za szyję i rzuca go oziemię*). Trzymam cię, ptaszku, i już się stąd nie wymkniesz. Rozprawię się z tobą natychmiast!

Giełduch (*podnosi się z ziemi*). Co to ma znaczyć? Nie tu miejsce, mój panie hrabio, na jakie rozprawy. Jeżeli żądasz odemnie jakiego tłumaczenia, możemy w innym miejscu... (*chce wyjść*).

Hr. Roman (*wstrzymuje Giełducha i odpycha go na środek sceny*). Ani kroku dalej! Tutaj, a nie gdzieindziej, chociażby przy świadkach — wszystko mi jedno!

Giełduch. Jakie лихо hrabiego opętało? Nie jesteś przy zdrowych zmysłach, i czego pragniesz odemnie?

Hr. Roman (*zbliżając się do niego*). Jestem przy zdrowych zmysłach i chcę, pragnę twej śmierci, zbrodniarzu, bo ona mi największą sprawi rozkosz i zadośćuczynienie. Z mojej ręki skonasz tu, jak ostatnia gadzina!

Giełduch. Puszczaj mnie pan, nie masz prawa..

Hr. Roman (*wyjmując z kieszeni rewolwer*). Stój! i ani się rusz!

Giełduch. Wstrzymaj się, hrabio, na miłość Boga! uspokój się, błagam cię! (*d. s.*) Zwarjował doprawdy.

Hr. Roman. Nie! żadne tu już błaganie nie pomoże. Wymierzę ci sam, nędzniku, taką karę, na jaką zasłużyłeś. Ześ mnie oszukał nikczemnie i wprowadził w swe złodziejskie szwindle i geszefty, ześ mnie wciąż okłamywał i zniewalał bezwiednie postępować względem wielu podle i zdrażliwie,

zem ci zaufał i uwierzył twym słowom i czynom, jako uczciwemu człowiekowi, zem wreszcie, tobie zawdzięczając, niemoralnie wpadł w kałużę brudów i błota, złożoną ze zgrai złoczyńców i oszustów — moja w tem wina, bo byłem — przyznaję zaślepiony i naiwny i do nikogo o to nie mogę rościć pretensyi. Lecz, żeś ty, zbóju, złowił mnie w swą sieć w celu zgóry przewidzianym: by czyhać na mój honor i zhańbienie mego nazwiska, żeś przemocą i gwałtem zdołał wyrwać z pod łona mej żony jej cnotę i niewinność, a mnie pogrążył w otchłań wstydu i sromoty, za taki postępek niema łaski i pardonu — powinienes zginąć!

Giełduch. Ależ panie hrabio, zastanów się, zaklinam cię. Ja się wytłumaczę, tylko więcej spokoju i rozwagi. Powiedz, proszę, kto ci nagadał, że ja pańską żonę... — to kłamstwo, to kalumnia! i ja przeczę...

Hr. Roman. Milcz lepiej! Twoje tłumaczenia się i przeczenia nie mają żadnego znaczenia i niczego już nie dokażą. Gdybyś stanął przed sądem, miałbym nawet świadków, którzyby twój postępek udowodnić mogli, lecz ja tu obecnie jestem sam sędzią mego honoru i mej zhańbionej małżonki, oraz wykonawcą wyroku, wydanego przezemnie na twoją osobę (*chwytą go za ramię, Giełduch upada na kolana*). Na kolana! podły robaku i módl się, jeżeli potrafisz i jeżeli wierzysz w jakiego Boga... Módl się, bo twoja ostatnia godzina wybiła!

Giełduch. Panie hrabio, co czynisz? Ja niewinny, jak Boga kocham! Zlituj się nademną, uczynię wszystko, co tylko zechcesz i rozkażesz, lecz błagam cię... puść mnie (*chwytą hr. Romana za nogę*). Zaklinam cię... proszę, nie zabijaj mnie tak sromotnie... łaski!

Hr. Roman. (*odpycha nogą Giełducha*). A! teraz się tarzasz u moich nóg ty wielka potęgo, złoty cielcu, przed którym padali i ginęli ludzie uczciwi; twoje ofiary! Ty istoto

bez czci i sumienia, módl się powtarzam, bo twój koniec się zbliża.

Giełduch (*próbując powstać i skryć się*) Ratunku... ratunku... na pomoc! Zabijają!

Hr. Roman (*cełując do Giełducha*). Twoje wołania nic ci nie pomogą. Musisz zginąć! (*Henryk Sakowicz wpada środkowemi drzwiami i wyrzywa Romanowi rewolwer z ręki*).

S C E N A VI.

Ciż sami i Henryk.

Henryk. Stój! nieszczęsny. Co czynisz? (*kładzie rewolwer na stole na lewo.*)

Hr. Roman. Puść mnie pan. Ja go zabiję, ja mam prawo (*chce się rzucić na Giełducha, Henryk go wstrzymuje i nie dopuszcza.*)

Henryk. Jakiebyś tam pan prawo miał—lecz ja tu jestem i do zbrodni nie dopuszczę!

Hr Roman. Zbrodni! to on zbrodniarzem, ten nędznik! On mnie zrujnował, zhańbił i zniszczył.

Henryk. Mścić się zabójstwem, to niegodnie i nieuczciwie.

Hr. Roman. Na mojem miejscu postąpiłbyś pan tak samo. Ja się nie mszczę, lecz wymierzam mu odpowiednią karę, na jaką odemnie zasłużył—innego sposobu niemam...

Henryk. Zabijać, to nie karać, lecz tylko siebie potępić i oskarżyć. Pojmuję pańską rozpacz i gniew, pragniesz pan swój honor ocalić i zaspokoić swoją miłość własną krwią człowieka, który pana znieważył i zhańbił, lecz zapominasz, panie hrabio, że za taki samowolny postępek staniesz sam przed publicznym sądem i że przez to ta druga droga ci

osoba, którą chcesz właściwie pomścić i której cześć pragniesz zrehabilitować, będzie również wystawioną pod pręgierz publiczny i ostatecznie wobec opinii zhańbioną i błotem zbryzganą. Zemścisz się, to prawda, wróg zginie z twej ręki, lecz ciebie, panie, jako zabójcę potępią i osądzą, a ona będzie na zawsze zgubioną. Takimi w tym wypadku słowy powinny przemawiać rozważa i rozsądek.

Hr. Roman. Rozważa i rozsądek! Opuścili one mnie już całkiem... Och! co za szaleniec ze mnie! (*zakrywa twarz rękawic.*).

Henryk. Ten człowiek dostatecznie upokorzony. Potępić go możemy, lecz nie do nas należy prawo wymiaru nad nim sprawiedliwości.

Hr. Roman. Może masz pan i słuszność. Nie ja jeden do tej sprawy należę i przyznaję, iż ona li tylko stanowi główną przyczynę mej rozpacz i boleści. Któż zatem jest w stanie dać mi to zadośćuczynienie, którego potrzebuję, kogo mam poszukiwać i od kogo mam żądać satysfakcyi? Zgnębiony i zhańbiony do siebie samego powinienem się chyba zwrócić i siebie samego ukarać i zabić. On niech żyje i dalej tryumfuje ze swego zwycięstwa! Żadna zasłużona kara i żadne męczarnie dotknąć go już nie mogą. Ja jeden powinienem cierpieć i pokutować za winy niepopelnione... Taka sprawiedliwość ludzka! Będę z sobą jeszcze walczył i tylko dla uiej! a gdy mi sił nie starczy, stanie się podług Jego woli (*wskazuje ręką w górę i odchodzi drzwiami na prawo*).

S C E N A VII.

Ciż sami bez hr. Romana.

Giełduch (*przygnębiony*). Panie Henryku! synu mój, ocaliłeś mi życie.

Henryk. Nie mówmy o tem. Uległem życzeniu matki i

zgodziłem się przybyć na wezwanie pana prezesa. Jaki ma pan do mnie interes?

Giełduch. I ty mną pogardzasz i odtrącasz mnie od siebie?

Henryk. Fatalność zrządziła, że jestem na nieszczęście pańskim synem, lecz między nami nie może być nic wspólnego.

Giełduch. Nie wyrażaj się w podobny sposób. Proszę cię Henryku, nazywaj mnie ojcem.

Henryk. Nie mogę!

Giełduch. Wymagać nie mam prawa, kiedy nie chcesz. Jak się stało: źle czy dobrze, przeinaczyć nie w naszej mocy. Pragnąłbym tylko naprawić choć w części błąd popełniony i mieć tę nadzieję, że ty Henryku i twoja matka nie będziecie przeklinali mojego imienia i zczasem zlitujecie się i przebaczycie człowiekowi, który dużo względem was zawinił, a głównie względem twojej nieszczęsnej matki, lecz który teraz ciężko pokutuje za popełnione grzechy i szczerze żałuje swoich postępów. O to was przedewszystkiem proszę. Wyjadę z kraju na długo zapewne i właśnie potrzebuję człowieka pewnego, któremu bym mógł powierzyć i zostawić niektóre zlecenia. Czy mogę liczyć na ciebie, Henryku i czy przyjmiesz na siebie zobowiązanie tego rodzaju?

Henryk. Przyjmuję.

Giełduch. Dziękuję! Oto są (*wyjmuje z kieszeni papiery*), dokumenta niektóre, rachunki bankowe i inne papiery, przytem list do pani Sakowicz, twojej matki (*oddaje mu zwinięty pakiet*). Byt wasz zabezpieczony, żona moja oddaje wam połowę swego fundnszu, jak o tem wiesz zapewne. Ja zaś z mojej strony nic wam w danej chwili ofiarować nie mogę, gdyż straciłem wszystko.

Henryk. Nie przyjąłbym nigdy!

Giełduch. Tego nie uczyniłbyś Henryku. W każdym razie względem twojej żony mam pewne obowiązki, chociaż

nie jest ona moją córką. Teraz dziękuję ci serdecznie jeszcze raz, Henryku, za twoją zyczliwość i za wyrządzoną mi usługę. Proszę cię, podaj mi swoją ręką (*Henryk waha się, wreszcie po chwili podaje rękę Giełduchowi, który ją ściska*). O, mój synu, dzięki ci, obecnie lżej mi na sumieniu i serce mi z radości zabiło! Krew moja, na nieszczęście — jak się wyraziłeś — płynie w twoich żyłach, lecz pamiętaj i to ja ci mówię: (*Wchodzi Helena środkowemi drzwiami, usuwa się trochę na bok i spogląda na rozmawiających*). Nie wstępuj w ślady swego ojca. Pracuj uczciwie! Nie dorobisz się wielkiej fortuny, ale zostawisz swoim dzieciom czyste i niesplamione nazwisko, a to będzie lepsze z pewnością. Matka twoja zacna i szlachetna kobieta — i ty, mam to przekonanie, odziedziczyłeś po niej te zalety i jej uczciwość. Bądź dla niej i nadal, jak byłeś dotąd, dobrym i oddanym synem. Życzę ci, Henryku, z całej duszy szczęścia i powodzenia.

Henryk. Żegnaj cię, panie!

Giełduch. Bądź zdrów! (*Henryk odchodzi środkowemi drzwiami nie spostrzegając Heleny*).

S C E N A VIII.

Giełduch i Helena.

Helena (*podchodząc do Giełducha*). Co to znaczy, papo? Sakowicz u ciebie?!.. Pogodziliście się już?

Giełduch. A to ty, pani księżno! Poco tu przyszłaś? Zapewne po pieniądze... ha! ha! ha!

Helena. Dziwię się bardzo, że po tem wszystkim co zaszło, przyjmujesz u siebie uwodziciela Zofii, tego bękart!

Giełduch. Dość tego! To do ciebie nie należy. Postępuję jak mi się podoba.

Helena. Ależ papo, co z tobą? Zmieniłeś się do niepoznania. Czyżby to miało być prawdą—jak kursują wieści,—żeś papo zrujnowany i bankrut? Ja temu nie wierzę!

Giełduch. Próżne twoje zachody, moja piękna Heleno. Skończył się wiek złoty i już z kieszeni swego papo nie wydobędziesz ani szeląga.

Helena. Papo, co mówisz? to niepodobna! (*Zbliża się do Giełducha i siada koło niego*). Byłam przecież zawsze dla ciebie, papo, oddaną i kochającą córeczką, wiesz o tem dobrze i przedemną, proszę, bądź szczerym, nie ukrywaj prawdy, bo w podobny sposób mnie martwić, to się nie godzi. Przykro mi bardzo, wyznaję, że z tymi Sakowiczami wszedłeś w stosunki i z tą wyrodną córą twoją, która cię porzuciła i uciekła. O! ja cię, papo, nigdy nie porzucę, chociażbyś na seryo zbankrutował i pozostał w biedzie, możesz mi wierzyć i na mnie polegać (*spogląda wokoło*), tu niema nikogo? Przyznaj mi, drogi papusio, tak otwarcie i pod sekretem, ja przecież cię nie wydam, bo w tem i mój interes, powiedz i przyznaj, papusio, że to twoje całe niby bankructwo, to udane tylko i nie więcej?

Giełduch. Możesz być pewną, że nie udane. Idź precz! wynoś się!

Helena (*wstając*). Jakto? więc to na seryo? Ależ, papo posiadasz z pewnością jakie ukryte skarby i mógłbyś mnie, swojej córce...

Giełduch (*ze złością*). Nie posiadam żadnych skarbów, niemam pieniędzy, niemam zony, córek, nikogo! Szukaj sobie, moja pani księżno, gdzieindziej teraz tych skarbów i pieniędzy. Idź, wracaj do domu, zajmuj się, pracuj i staraj się, jeżeli możesz, być dobrą żoną i matką, i mnie już zostaw w spokoju.

Helena. Tak... dobrze to mówić, kiedy ten mój książę, sam bez grosza, znać mnie nie chce i mną pogardza. Puściłam go też już w trąbę ostatecznie.

S C E N A IX.

Ciż sami i Mogilson (*wchodzi spiesznie z lewej strony pierwszemi drzwiami*).

Giełduch (*wstając*). To ty jesteś: wyrodną córką, niegodziwą żoną i matką. Precz stąd!

Mogilson. Panie prezesie, jedno słówko!

Giełduch. Co takiego? Czego pan chcesz?

Mogilson. Figielman pragnie ratować pana prezesa, a ja też jestem na jego usługi. Powinieneś, panie prezesie, niezwłocznie opuścić dom i coprędzej wyjechać za granicę.

Giełduch. Wiem o tem i bez was, usług zaś waszych nie potrzebuję. Zdradziliście mnie obydwaj, a ty panie Mogilson oszukałeś mnie i porzuciłeś właśnie w chwili najkrytyczniejszej

Mogilson. Panie prezesie, to nie ja temu winien, słowo daję, lecz okoliczności. Ale co o tem mówić, kiedy trzeba się spieszyć!

Helena (*d. s.*). E! jak widzę, nie dobrze tu pachnie i źle się święci. Mój papa na seryo bankrut... to smutna sprawa i kiepski interes! Nie mam tu co dłużej robić, ale chyba nie zginę! Jestem przecież jeszcze młodą i piękną i *vogue la galère*—nie zabraknie mi ani wielbicieli ani pieniędzy!

Giełduch (*do Heleny*). Jeszcze się tu znajdujesz? Powiedziałem, żebyś wyszła.

Helena. Jesteś niewdzięczny, papo, to ja cię porzucam. *Adieu!* (*odchodząc*) fe! bankrut! *C'est stupide!* (*wychodzi środkowemi drzwiami*).

Giełduch. A! ta—to już bez wątpienia prawdziwa moja córka—i matka rodzona temu nie zaprzeczy!

S C E N A X.

Giełduch i Mogilson.

Mogilson. Spiesz się panie prezesie, każda chwila jest drogą! Możesz się jeczczce ucieczką ocalić, a następnie podnieść z upadku.

Giełduch. Wyjadę, lecz niemam czego się obawiać. Cóż mi zagraża?

Mogilson. Wszystko! wydanie rozkazu aresztowania pana prezesa może wkrótce nastąpić... Różne kursują wersje: podobno od kilku osób, poszkodowanych wskutek upadłości domu, podane są już skargi do sądu. Zarzucają panu prezesowi różne szwindle i oszustwa, rosmysłne i fikcyjne powiększenie kapitału bankowego, wypuszczenie większej ilości akcji «Wzajemnej Pomocy», niż w nim się znajdowało kapitału zakładowego, symulację rachunków, wypłat i t. d. Rewizje odbywają się wszędzie: w banku i w zarządzie kolei południowych, gdzie jakoby odkryto wiele nadużyć i malwersacji. Przytem żona tego Waligórskiego, warjata, byłego dyrektora cukrowni Walicow, wytacza panu prezesowi proces o oszustwo i kradzież. Słowem, gdzie tknąć, zarzucają panu prezesowi wszędzie wielkie nadużycia. Przeciw temu wszystkiemu trudno się już bronić, a poddać się—to dla pana prezesa hańba, więzienie i ostateczna ruina.

Giełduch. A no tak! dopóki byłem panem położenia i jak długo panowałem nad rynkiem pieniężnym, nie robiono u mnie rewizyi, nie zarzucano mi żadnych malwersacyj i nie wytaczano procesów, bo wszyscy się mnie bali, i u nóg mych tarzali, te bałwany, począwszy od najwyższych figur— a teraz, gdym stracił majątek, kredyt i powagę, ogłaszają

mnie oszustem i złodziejem, pragnąc corychlej oddać pod sąd. Lecz ja im się nie poddam, tym łajdakom i zwycięzę! Mnie chyba żywego do kozy nie wpakują.

Mogilson. Oto list od Figielmana do pana prezesa i dołączona przytem pewna suma na podróż. Radzi on panu prezesowi podążyć wprost do Londynu i udać się do domu Rotszylda.

Giełduch (*biorąc list*). Dawaj pan! niema innej rady — tonący i brzytwy się chwytą.

Mogilson. Teraz żegnam pana prezesa, życząc mu szczęścia i wszelkiej pomyślności! (*d. s.*) Zmykam stąd coprędzej, bo mógłbym sam jeszcze wpaść w pułapkę... Nie głupim! (*wychodzi spiesźnie na lewo pierwszemi drzwiami*).

S C E N A XI.

Giełduch sam.

Giełduch (*wygrażając pięścią za odchodzącym Mogilsonem*). A! wy wszyscy łotry i zdrajcy! Wy moi niby współnicy; kradliście i oszukiwaliście tak samo, jak i ja, a może lepiej odemnie. Teraz niegodziwcy, tryumfujecie i rzucacie mnie na pastwę tym krukom, a sami chowacie się za kulisy! Wy zbogaceni z mojej łaski... podle paruchy! Oni teraz sami drżą ze strachu i pragną mej ucieczki, bo gdybym stanął przed sądem, wydałbym ich i wykazałbym wszystkie ich szachrajstwa i złodziejstwa. (*Chodzi po seenie*). Mogą mnie śmiało rewidować, nic tu nie znajdują (*zatrzymując się*). Abym tylko czego nie zapomniał (*przerzuca szuflady, następnie idzie do stołu na lewo i spostrzega leżący rewolwer*). A! ten rewolwer może się przydać na wszelki wypadek (*spoglądając na rewolwer*). Jedna z tych kulek była dla mnie przeznaczoną i o

mały włos... lecz nie udało się panu hrabiemu (*chowa rewolwer do kieszeni*). Wszystkiem rządzi przeznaczenie... A teraz — marsz w drogę! (*wkłada kapelusz na głowę*). Temi drzwiami wyjście będzie bezpieczniejsze, (*wskazuje pierwsze drzwi na lewo*); ale zapomniałem: muszę jeszcze palto włożyć (*wychodzi na prawo. Środkowemi drzwiami wchodzi komisarz*).

S C E N A XII.

Giełduch i komisarz policji.

Giełduch (*wychodzi po chwili z prawej strony w palcie i kapeluszu, spostrzega komisarza*). Co to?

Komisarz. Pan Józef Giełduch, prezes Banku.

Giełduch. Co sobie pan życzy od niego?

Komisarz. Wimieniu prawa aresztuję go.

Giełduch. Mnie?! (*d. s.*) Zapóżno! jestem zgubiony! (*do komisarza*). Widocznie zaszło tu jakieś nieporozumienie... Jakiem prawem?

Komisarz. Otrzymałem rozkaz od prokuratora. Racz pan niezwłocznie udać się ze mną.

Giełduch. A gdybym odmówił pańskiemu żądaniu? Aresztować mnie i to z jakiej przyczyny?

Komisarz. Nie do mnie należy wyjawiać panu przyczynę. Jeżelibyś się zaś pan opierał rozkazowi, w takim razie będę zmuszony użyć siły.

Giełduch. To wcale niegrzecznie z pańskiej strony (*d. s.*) Jeszcze chwyć się ostatniego środka (*zbliżając się do komisarza*). Ależ, panie komisarzu, ja wcale nie myślę się opierać, skoro rzeczywiście otrzymaliście podobne rozporządzenie, tylko mnie to dziwi i nie mogę pojąć... Otóż, chciałem powiedzieć, jesteśmy tu sami i bez świadków, moglibyśmy więc

ten interes po przyjacielsku załatwić. Przecież panu komisarzowi nie na tem nie zależy, abym został aresztowany. Możecie zatem śmiało oświadczyć, że mnie w domu już nie zastalście.

Komisarz. Wypełniam mój obowiązek i nie mam czasu do stracenia.

Giełduch. Wypełnicie, panie komisarzu, najsumienniejszy swój obowiązek, pozwalając mi bez przeszkód opuścić to mieszkanie (*sięga do kieszeni i wyjmuje sakiewkę z pieniędzmi*). Nikt o tem się nie dowie — zaręczam słowem! Oto, panie komisarzu, proszę, weźcie ten pakiecik, jako zadatek, a po moim stąd wyjeździe mój plenipotent wręczy wam jeszcze sumę daleko znaczniejszą. Zgoda więc?!

Komisarz. Pragniesz mnie pan przekupić? Doprawdy dziwię się panu, że się chwytasz sposobu, który mnie, jako przedstawicielowi władzy, ubliża. Radzę panu zyczliwie nie zwlekać dłużej, poddać się i mnie towarzyszyć.

Giełduch. Otóż nie poddam się, zaręczam komisarzowi, i ja nawzajem radzę panu przyjąć moją propozycję, zgodzić się ze mną i uwolnić mnie od swojej osoby. Inaczej bowiem, ostrzegam, że źle będzie z panem.

Komisarz. Grózb pańskich się nie zlekne i po raz ostatni (*bierze Giełducha za ramię*) chodź pan!

Giełduch (*wyrywając się*). Nie pójdę! puszczaj mnie pan (*biegnie na lewo w pierwsze drzwi—komisarz za nim*). Odejdź pan stąd natychmiast—i po raz drugi ostrzegam (*wyjmuje z kieszeni rewolwer i celuje do komisarza*), bo zabiję! (*Komisarz daje sygnał świstkiem. Giełduch strzela, chybia i ucieka przez drzwi za scenę. Wtej chwili wpada środkowcami drzwiami dwóch żandarmów*).

Komisarz. Prędej! spieszcie się tu w te drzwi! (*Żandarmi biegną za Giełduchem i po chwili wprowadzają go na scenę, trzymając za ręce*).

Giełduch. Nie udało się! Złapali mnie! walczyłem do końca! Puśćcie mnie, już nie ucieknę! (*Żandarmi puszczają Giełducha*). Zwyciężyłeś, panie komisarzu, lecz będziesz żałować i miał mnie na sumieniu. Możecie mnie teraz prowadzić przed wasz sąd... nieżywego! (*przyklada szybko rewolwer do ust, strzela i pada na ziemię*). A!...

Zasłona spada.

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-88-63



F

3994